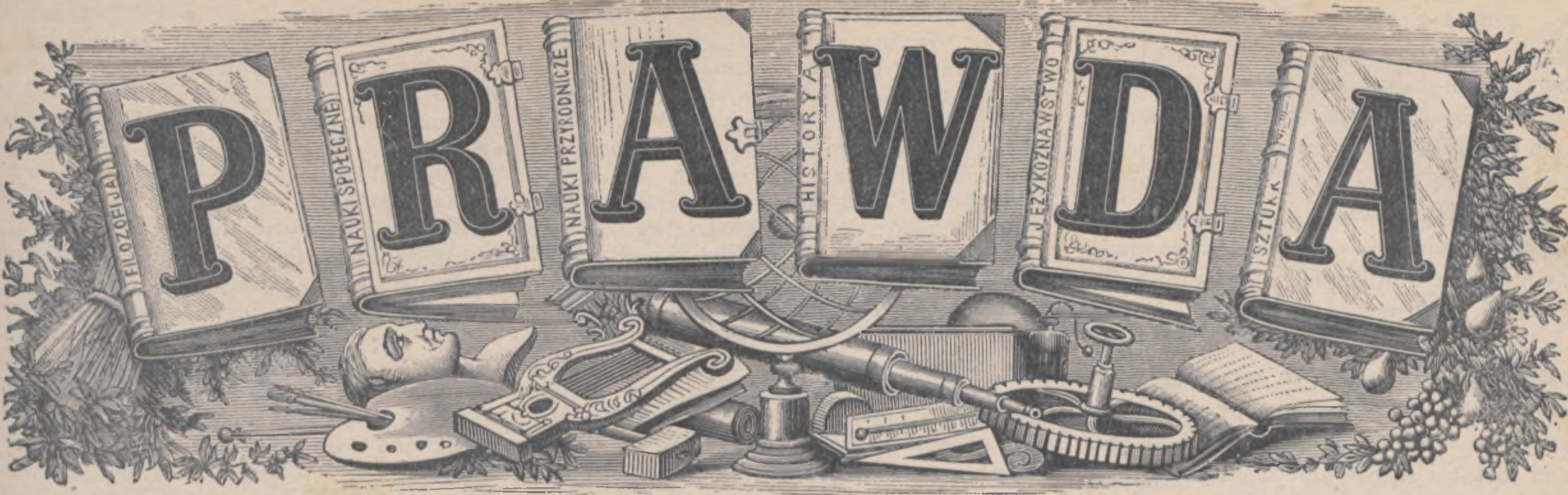
№ 12. Warszawa, dnia 21 (9) Marca 1885 r. Rok V.



PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Skutkiem niespodziewanego zapotrzebowania i sprzedaży cząstkowej w zeszytach, pierwsze dwa tomy **Głównych prądów literatury XIX wieku** J. Brandesa zostały bądź wyczerpane, bądź tak zdefektowane, żeśmy wielu żądaniom odmówić musieli. Ponieważ żądania te obecnie wzrosły i coraz częściej wychodzą ze strony naszych abonentów, postanowiliśmy brakujące arkusze przedrukować i tym sposobem uzupełnić całe dzieło. Ażeby zaś cenę jego uprzystępnić, zniżamy ją dla wszystkich do możliwej granicy, mianowicie: *cztery tomy, zawierające 76 arkuszy druku zamiast 6 rs. k. 50, kosztować będą rs. cztery* (z przesyłką pocztową rs. 4 k. 50).

Tom I uzupełnimy i roześlemy 1 kwietnia, tomy II, III i IV w połowie kwietnia r. b. O wczesne zapisy i składanie przedpłaty prosimy chcących korzystać ze sposobności taniego nabycia tak znakomitego dzieła, którego cenę później przywrócimy do poprzedniej wysokości, zwłaszcza, że nawet po skompletowaniu liczba egzemplarzy będzie bardzo ograniczoną.

Uwaga. Ponieważ sprzedaż tomów pojedynczych psuje nam całość dzieła, nie możemy więc ich odstępować za cenę zniżoną, lecz dotychczasową, mianowicie: tomy I, II i III po rs. 1 k. 50, IV zaś rs. 2.

Przypominamy również zbliżający się termin kwartalnej przedpłaty na *Prawdę*.

OD SPÓŁKI NAKŁADOWEJ.

Pierwszy zeszyt dzieła Brandesa **Szkoła romantyczna we Francyi** wyszedł z druku. Książka ta zastosowana została w formie do wydania *Głównych prądów literatury XIX w.* Prenumeratorowie prowincyonalni odbiorą ją w całości po skończeniu druku, co nastąpi przy końcu bieżącego miesiąca.

Dzieło to ozdobione będzie portretem autora, rysowanym z natury przez Leopolda Horowitza, przed wyjściem zaś całości nabywać je można po cenie prenumeracyjnej.

Zażegnana burza.

Przed tygodniem jeszcze wojna angielsko-rosyjska wydawała się takiem prawdopodobieństwem, że już nietylko ruble, ale i konsole zaczęły opadać, a cała prasa polityczna rozesłała swym abonentom mapki Afganistanu i jego sąsiedztw, ażeby czytelnicy mogli od pierwszej chwili śledzić ruchy wojsk. Na podtrzymanie tej wiary wpływały również oświadczenia ministrów angielskich, którzy nie taili, że „sytuacya jest poważną." a „możliwość zawikłań niewyłączoną." Proroctwa Vamberego, o którym Europa przypomina sobie zawsze przy zatargach na wschodzie i który w tym względzie gra rolę wyroczni, przewędrowały całe dziennikarstwo. Już, już spodziewano się wiadomości o pierwszej potyczce, gdy nagle telegraf donosi, że... Nikaragua będzie się biła z Gwatemalą i Albania wypowiedziała wojnę Turcyi, spór zaś między Anglią a Rosyą został załatwiony. Dzięki komu?

Nie trudno było dostrzedz, że obie strony do wojny nie miały wielkiej chęci, a przy takim nastroju starcia uniknąć można, ale ryzyko, pokusy zawsze mają powab dla państw, jak dla jednostek. Kto wie zatem, czy dziś Afganistan nie byłby polem zaciętej walki, gdyby nie... ks. Bismark, który zażegnał burzę dla okazania swej potęgi i niewywoływania wilka z lasu.

Gdy wygłosił w parlamencie swoją mowę, oskarżającą Anglię o nadużycie jego zaufania i o kłamstwa, gdy ją ośmieszył przypomnieniem, jak natrętnie prosiła go o radę względem Egiptu, zdawało się, że którykolwiek z przedstawicieli gabinetu londyńskiego odeprze energicznie tę obrazę. Tymczasem lord Granville spełnił akt publicznej skruchy, przyjął syna kanclerskiego z otwartemi rękami, przyrzekł mu porobić ustępstwa w koloniach, za co natychmiast otrzymał zawiadomienie, że Rosya nie zaczepi Afganistanu. Za prasą niemiecką inne tytułują Bismarka „dyktatorem." Rzeczywiście w tym wypadku okazała się ta jego dyktatura dowodnie. Pośrednio a w poufnych rozmowach może bezpośrednio powiedział on Anglii: jeśli nie zgodzicie się na to, czego żądam, zwalę na was Rosyę w Azyi; jeżeli zaś ustąpicie, odciągnę ją, chociażby już wyważała bramy Indyi. I odciągnął.

Z drugiej wszakże strony staje się to coraz widoczniejszem, że Bismark chętnie zapobiega wszelkiej wojnie. Wyznał on niedawno w sejmie niemieckim, że gdziekolwiek dziś zaczęłaby się walka, przyjęłaby szybko szersze i nieprzewidziane rozmiary. Nikt nie zaręczy, że pożar domu, otoczonego budynkami z materyałów łatwo zapalnych, nie przeniesie na nie ognia. Zwłaszcza zaś stosunki wschodnio-europejskie są utkane robotą szydełkową, którą z każdego punktu rozpruć można. Obecny zaś ich układ, zapewniający największą potęgę i korzyści Niemcom, musi być przez nie strzeżonym. Wygląda to z pozoru na zuchwały paradoks, a jednak coraz więcej zyskuje powności przypuszczenie, że Bis-

mark, który trzyma w strachu całą Europę, sam boi się — boi się wielkiej wojny i pragnie utrzymać to, co zdobył. Utworzył on nawet sobie pewną teoryjkę, która byłaby zabawną, gdyby w pewnach razach nie była praktyczną. Według niego istnieje jeden tylko naród niezadowolony, łaknący wojny i oczekujący od niej szczęścia, mianowicie — polacy. Oni to ciągle intrygują, sieją niezgodę i obawy, budzą nieufności, rozdymają każdą waśń polityczną. Ale te szatańskie plany widzi i udaremnia on — Bismark! W ostatniem przemówieniu do polaków przyprzągł hanowerczyków i duńczyków (ze Szlezwigu), ale ci ostatni są rewolucyonistami umiarkowańszymi. Często wywody kanclerza niemieckiego wyglądają tak, jak gdyby chciał powiedzieć: zanosiło się na wojnę, z której wiele obiecywali sobie polacy, ale w ostatniej chwili ugasiłem ogień i pokazałem im figę. Te ustawiczne kłótnie najpotężniejszego człowieka z polską garstką mają w sobie coś szczerze humorystycznego. Jak zdziecinniały starzec odkrywa on wszędzie figle i psikusy nasze.

I znowu z powodu sprawy afganistańskiej wyciągnął on polaków, którzy mieli sobie życzyć angielsko-rosyjskiego starcia i których ominęła gratka — dzięki „uczciwemu meklerowi.“ Czyż w tych wszystkich urojeniach polityka ks. Bismarka nie maleje, nie schodzi do drobnej szarpaniny? Czy w nich znać rzeźwy jeszcze i energiczny jego geniusz? Bynajmniej.

To już tylko zła i tetrycząca starość.

PIERWSZY SOCYOLOG POLSKI *).

I.

Pisma Józefa Supińskiego wyszły w trzeciem wydaniu. Już fakt ten sam świadczy, że muszą one posiadać niepospolite zalety, zwłaszcza że treścią ich nie jest beletrystyka, ale poważna nauka i rozumowanie. Nie mylę się może, mniemając, że Supiński zawdzięcza powodzenie literackie swojej „Szkole polskiej gospodarstwa społecznego“ (tom II i III pism). W tej pracy leży główna jego zasługa. Przedstawia ona t. z. ekonomię polityczną w sposób przystępny i oryginalny. Supiński na tem polu jest myślicielem samodzielnym. Umie on obserwować życie społeczne pod względem gospodarczym, a spostrzeżenia swoje przedstawić jasno i plastycznie. Przytem pojmuje całe znaczenie *wolności* dla ruchu ekonomicznego, dla rozwoju i postępu społeczeństwa. Wreszcie dziełu jego nadaje nieoszacowaną wartość dla nas to, że stosuje on pomysły i nauki swoje do kraju rodzinnego i urządzeń swojskich. Przez to staje się dla nas daleko zrozumialszym, tak że młodzież z dzieła jego więcej się nauczyć może, niż z niejednej książki obcej, choćby daleko uczeńszej—bo w Supińskim ciągłe odwoływanie się do stosunków swojskich ma prawie znaczenie eksperymentu, dołączonego do wykładu teoryi.

W wykładzie „Gospodarstwa społecznego“ trzyma się systemu bardzo prostego, wynikającego z całości zapatrywań jego na świat i ludzkość. Zaczyna od rozbioru podmiotowych podstaw wszelkiej umiejętności, „doświadczenia i nauki,“ zwraca się do przedmiotów umiejętności, t. j. do „świata powszechnego i ludzkiego“ (właściwie „społecznego“) a następnie rozbiera pojęcia zasadnicze gospodarstwa społecznego w rozdziałach: bogactwo i mienie; wartość i cena; zapas, zasób, kapitał; robota, praca, zatrudnienie; przychód, dochód, korzyść, nagroda; zbyć i nabyć; wypożyczyć i zapożyczyć. Rozbiór tych pojęć zasadniczych zapełnia część pierwszą dzieła, (tom II pism). W następnej przystępuje do rozważania konkretnych podstaw wszelkiego gospodarstwa społecznego w dwóch rozdziałach: ludność i ziemia i węzły społeczne. W pierwszym z tych rozdziałów rozbiera stosunek człowieka do ziemi w gospodarstwie społecznem; dochody w ziemiaństwie i rozmiary posiadłości ziemiańskich; w drugim polityczne pojęcia: państwo, lud i naród; stany wyższe w zbiorowem życiu narodu i wpływ pojęć społecznych na ustawy i oddziaływanie ustaw na stan społeczny.

Pierwotnie autor zamierzał do tych dwóch części, stanowiących jeden dział pod nazwą: „organizm społeczny“—dołączyć drugi pod tytułem „mechanizm społeczny;“ myśli tej jednak nie przeprowadził. Prawdopodobnie ten drugi dział zawierałby wykład finansowości, który w systematach i podręcznikach niemieckich następuje zwykle po wykładzie ekonomii społecznej. Żałować należy, że stosunki nie pozwoliły autorowi na przeprowadzenie tego planu.

W szczegółowy rozbiór wykładu ekonomii politycznej Supińskiego nie możemy tu się wdawać—ani też nie ma ku temu potrzeby. Dzieło jego znane oddawna; sądzić je ze stanowiska *dzisiejszej* nauki byłoby niesprawiedliwem; ale za wewnętrzną wartością jego przemawia właśnie to, że pomimo znacznego rozwoju literatury ekonomicznej od czasu pierwszych wydań nie starzeje się ono. I śmiało twierdzić można, że nigdy się nie zestarzeje, bo Supiński czerpał teorye swe z życia i doświadczenia; oparł nauki swe na odwiecznych prawach życia społecznego; dlatego też wartość ich nie umniejsza się bynajmniej z biegiem czasu.

Inaczej rzecz się ma z pracą, pomieszczoną w tomie pierwszym, noszącą tytuł: „Myśl ogólna Fizyologii Wszechświata.“ Zachowa ona niezawodnie swoje literacko-historyczne znaczenie, jako ważne ogniwo w długim łańcuchu myśli, łączącym następujące po sobie pokolenia; ale główny pomysł jej już dzisiaj prześcigniety jest przez pomysły dojrzalsze *filozofii pozytywnej*. Starajmy się uzasadnić ten sąd nasz, który mógłby się może niejednemu wydawać zbyt ostrym.

W gruncie rzeczy ta „Myśl ogólna fizyologii wszechświata“ jest rodzajem *socyologii*. W przedmowie do I-go wydania autor sam powiada, że zamierzył pod sąd czytających złożyć „dopatrzenie nici łączącej *pojawy i czyny ludzkie z odwiecznemi wszechświata prawami*.“ We „wstępie“ zaś mówi, że „życie towarzyskie ma swoje formy i warunki istnienia... że wszystko razem wzięte ulegać musi pewnym prawom odwiecznym od woli niczyjej niezawisłym, których nie osłabić i zmienić nie zdoła.“ Cóż to znaczy innego, jak że autor szuka *praw przyrodniczych*, według których społeczeństwo ludzkie istnieje i rozwija się? Odnośne badania nazywamy dziś *socyologią*. Że i u nas, jak w innych literaturach, socyologia wyłoniła się z ekonomii politycznej, jest w tem pewna głębsza przyczyna. Żadna inna umiejętność nie pokazuje nam o tyle, o ile ekonomia polityczna jednostki, jako ślepego narzędzia prądów ogólnych

*) Słusznie tak nazywa *Supińskiego* redaktor *Prawdy* w dziele *O powstawaniu praw moralnych*, str. 128.

Ojciec Emanuel

przez

P. K. Roseggera.

V.

Pod koniec lata, 15 sierpnia, kościół katolicki obchodzi jedno ze świąt najuroczystszych. W dniu tym cześć dla Maryi do demonicznego niemal wzrasta zachwytu. Jest to ów dzień cudowny, w którym kiedyś matka Jezusowa, w obliczu wszystkich apostołów, otoczona chórami anielskimi, z duszą i ciałem wziętą została do nieba.

Wszędzie, gdzie wśród dolin kwiecistych wznosi się świątynia Maryi, gdzie w gęstwinie leśnej lub na wyżynach górskich dźwięczy dwonek w kaplicy Matki najświętszej — wszędzie tam dnia tego zbierają się pątnicy ze wszech stron, aby wśród przepychu i radości serdecznej obchodzić święto pamiątkowe.

Ojciec Emanuel czekał na to święto z niepokojem i utęsknieniem. Kościołek wewnątrz i na zewnątrz przyozdobiono w wieńce i kwiaty, a u ołtarza w około cudownego obrazu postawiono znaczną liczbę wysokich świec woskowych. Otwarły się na oścież wszystkie pokoje domu kościelnego, kiedy jednak w wigilię dnia tego pielgrzymi zaczęli nadciągać z trzech stron góry, a modły ich i śpiewy rozlegały się daleko wśród skał, kiedy z powiewającemi chorągwiami przybyło ich tysiące, kościół i zajazd pomieścić ich nie mogły. Setki pielgrzymów musiały nocować w sklepikach i na kamieniach przed domem bożym. Słychać przytem było modlitwy nieustające, pieśni i westchnienia w najrozmaitszych językach. Niecierpliwy węgier starał się przekrzyczeć pozdrowienie świąteczne niemca, namiętny włoch — pełną boleści skargę słowianina. Bo kto krzyczy najgłośniej, tego Matka boża wysłucha najprędzej. Czasem starzec jakiś stawał na wzniesieniu i głosem ochrypłym ostrzegał przed złodziejami. Inny znów rozpychał tłumy, żeby przeprowadzić omdlałą kobietę, lub dziecko na wpół uduszone.

Wieczorem dnia poprzedzającego, po zachodzie słońca już, ale zawsze jeszcze przy ciągłym napływie coraz nowych zastępów — ojciec Emanuel odprawił uroczyste nieszpory. Niezliczone świece paliły się u ołtarza, na ścianach, a nawet wśród nabożnych. Ciężka mgła niebieska unosiła się w obrębie kościoła, a gorączkowo zrumienione twarze wszystkich zwrócone były ku obrazowi świętemu.

Dziś była pora właściwa. Co o tej godzinie i w tem miejscu od potężnej nieba królowej wymodlić się dało, to ziściło się niechybnie. Błogosławieństwo dla pól, spokój w małżeństwie, zdrowie, bogactwo, wyswobodzenie z czyśćca dusz nieszczęśliwych, godzina śmierci niezakłócona i wszystko, wszystko, cokolwiek budzi życzenia w sercu ludzkiem, było przedmiotem próśb gorących. Staruszka jakaś z takiem samem namaszczeniem modliła się za chorą swą owcą, jak młoda żona za umierającym mężem. Koniarz pewien zaklinał Matkę boską, aby zachowała w tajemnicy fortele, za pomocą których oszukiwał swoich kundmanów. Chłopak szesnastoletni Pannę najłaskawszą błagał o wąsy. Ale któż zdolny jest zliczyć i zmierzyć wszystkie najtajniejsze bóle serca ludzkiego, które wytryskały tu nie w słowach i myślach, lecz całymi łez strumieniami?

Po nieszporach ojciec Emanuel zasiadł do konfesyonału i aż do późnej nocy słuchał zwierzeń o ułomnościach, zbłąkaniach i potwornościach duszy ludzkiej. Okropne to dla niego były godziny, w których do życia jego i tak nad wyraz ponurego i osa-

podległych stałym, niezmiennym prawom. Ekonomia polityczna więc podsunęła najprzód zajmującym się nią pojęcie *praw stałych*, rządzących nie tylko naturą martwą i światem organizmów, ale także życiem i rozwojem społeczeństw. Ona więc stała się przejściem do socyologii. Myśl tę wypowiada Supiński sam w „liście treści moralno-społecznej“ (tom V): „Jak nauki przyrodnicze, zatem poznanie spraw świata fizycznego, utarły drogę wielkim wynalazkom Watta, Stefensona, Jakobiego, tak nauki społeczne, na których czele stoi gospodarstwo społeczne, *wiodą do poznania praw rozleglejszych jeszcze*; bo wiodą do pojęcia tego harmonijnego związku, który tkwi w dwoistej naturze ludzkiej, który łączy w pojedynczym człowieku jego organizm cielesny z jego duchową potęgą a pojedynczego człowieka wplata w żywot ludzkości całej.“

Otóż zbadanie tych „praw rozleglejszych“ założył sobie autor w „filozofii wszechświata;“ że ich szukał i że u nas szukał pierwszy, pozostanie na zawsze jego zasługą. Czy je znalazł — to inna kwestya. Odkrycie takich praw nie mogło i nie może być rzeczą jednego człowieka, choćby najgenialniejszego; takie odkrycia dokonywają się przez pracę wielu pokoleń, a pojedynczy myśliciele dostarczają ledwie po cegiełce do wspólnej budowy. Supiński u nas położył fundamenta pod budowę socyologii. Przypatrzmy się teraz, które części fundamentów są silne i zdrowe, tak że na nich śmiało dalej budować można, a które słabe i chwiejne, tak że innemi zastąpione być muszą.

Ze przedmiot nowej filozofii, którą on nazywa „umiejętnością powszechną,“ musi być różny zupełnie od przedmiotu dawnej metafizyki, o tem wie dobrze i wypowiada zaraz na wstępie. „Metafizyka, obrawszy tron Przedwiecznego za cel zbiorowy swojej krętej podróży, chcąc zbadać wszystko, co wzdłuż tej ogromnej leży przestrzeni, rozpoczęła dzieło, którego najodleglejsi nie wykończą prawnucy, które *praktyczniejsze wieki zarzucą zupełnie*, które jest marzeniem do szczęścia ludzkości niepotrzebnem, podróżą, jaką ślepy dla odkryć przedsiewziął.“ W przeciwieństwie do owych idealnych celów metafizyki tak określa Sup. cel swojej „umiejętności powszechnej.“ Ta „wiedza, opierająca się na wszystkich szczegółowych umiejętnościach, musi być ludzką, towarzyską (używa wyrazu towarzyski wszędzie tam, gdzie my dziś używamy wyrazu *społeczny*) i żyjącą umiejętnością; prawdy jej muszą leżeć *w części znajomej natury człowieka* i w świecie, w którym on żyje. Powołaniem jej nie jest, ani przedzierać na przebój tajemnic nieprzystępnych siłom naszym; ani bronić najwyższą światem rządzącą mądrość... *Skierować je należy ku ziemi i tu badać i rozwijać prawa niezmienne*, któremi ta mądrość przedwieczna zapewniła samoistność jednostek a jednostki w całość zlała. *Poznać przeto naturę ludzką*, poznać pragnienia i wstręty człowieka, odzywające się równocześnie w całem jego jestestwie, wyśledzić źródło, z którego one płyną, *rozebrać i odłączyć jego usposobienia wrodzone od nabytych...* poznać, jakim on jest pojedynczo, by wiedzieć, jakim jest zbiorowo i *na tych zasadniczych prawach przyrody oprzeć ludzkie prawa:* oto zdaje się jest ostateczne umiejętności powszechnej zadanie...“ Zdawałoby się więc, że Sup. staje na stanowisku realistycznem, którego konsekwencyą jest potępienie wszelkiej metody apriorystycznej. „Rozumowania *a priori* w rzeczach społecznych— powiada on—mogą zajmować umysł, lubiący badać i wydobyte wnioski w kolei następstw zestawiać; mogą karmić myśl istot, pragnących zerwać zasłonę kryjącą ich pierwsze skojarzenie, mogą nawet przeważnie ku ich dalszemu rozwojowi dopomagać; *częściej jednak prowadzą do mistycyzmu i politycznych dogmatów, zwykle niewykonalnych, rzadko użytecznych, niekiedy pacących rzetelne o towarzystwie pojęcia.* One wywołały poszukiwania praw nieistniejących, *bo praw odrębnych dla społeczności samej*, niejako niezawisłych od tych, które rządzą wszechświatem, przeto rozwijających się bezwzględnie na nie...“ Sąd ten o rozumowaniu *a priori* jest zupełnie trafny; zarazem wyjawia autor w tych słowach główną myśl dzieła swego, t. j. *że prawa rządzące społecznością muszą być te same, które rządzą wszechświatem, albo przynajmniej od nich zawisłe.* Ta myśl główna dzieła Supińskiego jest podstawą dzisiejszej socyologii, która również szuka praw ogólnych, rządzących światem i społecznością a przynajmniej takich praw społecznych, które od praw natury są zawisłe. Ale u Supińskiego uderza zaraz w tym „wstępie“ to, że potępiając słusznie rozumowanie *a priori* a więc metodę dedukcyjną, nie wspomina wcale, ani nie określa indukcyjnej, jak gdyby o niej i o możności zastosowania jej do nauk społecznych nie zupełnie jasne miał pojęcie—a zobaczymy, że istotnie w dalszym ciągu dzieła nigdzie jej nie użył, i pomimo potępienia rozumowania *a priori* sam właśnie *tem* rozumowaniem grzeszy.

Jak wszyscy poprzednicy nowożytnego monizmu, zacząwszy od Herdera (*Ideen zur Philosophie der Geschichte*) i autora słynnego *Systemu Natury* (Mirabaud, pseudonym barona Holbacha), tak i Sup. rozpoczyna wywód swój od „postaci świata,“ od „przekonania,“ „że bryła nasza przechodziła już to stopniowo, już też w odległych odstępach rewolucye, których my dokładnie wyświecić nie zdołamy, a które mogły szarpać i niszczyć całe pokolenia i narody, które zatem mogły niszczyć wszystko, co było przeszłości wiedzą i nabytkiem.“ Przekonanie to opiera się na stwierdzonym przez doświadczenie pewniku naukowym, że „nieustające przeobrażenia materyi są jednem z praw naczelnych fizycznego świata.“ Taki punkt wyjścia w każdym razie ma tę zaletę, że zrywa z wiekowemi tradycyami biblijnemi i stawia cały rozwój ludzkości na gruncie przyrodniczym. Dalszą konsekwencyą tego zapatrywania jest rozbrat z antropocentryzmem i przypuszczenie, iż znajoma nam część rozwoju ludzkości jest może tylko drobnym ustępem nieskończonego procesu przyrodniczego, o którego poprzednich fazach pamięć wszelka zaginęła. W tej myśli słusznie podnosi Sup., że owa *formułka*, podług której braminowie obliczają dokładnie zaćmienia słońca, „która jest ich stanu tajemnicą, której nie rozumieją, a której pochodzenia nie znano już za greckich czasów“ — „jest może ostatnim zabytkiem wielkiej niegdyś oświaty wszystkich Azyi ludów.“ Ta myśl nasuwa mu drugą o nieskończenie długim przeciągu wieków istnienia ludzkości, o którym ani historya, ani tradycya nic nie wiedzą. Słusznie bowiem zadaje on sobie pytanie: „Wieleż musiało upłynąć wieków, nim dzika zrazu ludzi trzoda... związała się w pewną całość i w pewne towarzyskie ułożyła karby? Wieleż ich dalej przeminęło, nim ludzie ci przeszli do pojęć umiejętnych; nim zmierzyli główne ciał niebieskich obroty; czas ujęli w liczby i zrozumieli powszechne ciał i sił przyrodzonych właściwości? Wieleż znów przesunąć się ich musiało, nim wszystkie ścieżki tej przeszłości zarosły i rzeczy niewątpliwe wieczną pokryły się tajemnicą?“ (str. 57). Jaki zaś był los przeszłości, taki sam prawdopodobnie czeka teraźniejszość, z czego filozof wyprowadza wnioski na przyszłość. „Potomkowie nasi szukać może będą kiedyś pod stopami swojemi fenickich osad Gades, Tartessus

---

motnionego, samo napływały cienie. Dziwna jednak, że młodemu kapłanowi nieobcemi były wszystkie owe grzeszne porywy, ujawnione przed nim na spowiedzi — spotkał się już z nimi we własnej duszy. I on miał sądzić błędy innych? I do niego, młodego człowieka, przychodzili ludzie o głębokich bruzdach na twarzy i białych włosach i żądali wskazówki i rady. I do niego też przychodziło niejedno serce młode, gorące i pełne zaufania powierzało mu najwewnętrzniejsze swoje świętości, na straży których zazwyczaj wstyd stoi zapłoniony.

O północy wreszcie z głową mocno odurzoną Emanuel wstał z konfesyonału i chwiejnym krokiem przeszedł do swojej celi. Ale nie mógł zasnąć; w mózgu jego namiętności ludzkie wyprawiały taniec czarodziejski. Ach! martwemu obrazowi u ołtarza pielgrzymi przynieśli pieśni pełne miłości i piękne kwiaty; dla niego zaś, dla kapłana, nie mieli nic, prócz goryczy swojej i szpetoty, prócz bólu i grzechu.

W szczególniejszy sposób jednak zaniepokoiła go jedna, jedyna pokutnica. Dziewczyna to była czarnowłosa, o dużych oczach, lat ośmnastu lub dwudziestu. Długo drżąc i szlochając klęczała przed konfesyonałem, zanim słowo przemówić mogła. Potem opowiedziała, że przybyła tu złą drogą i daleką, żeby u Maryi panny szukać ratunku, że sama nie wie, co począć, że obawia się samej siebie, bo jest niegodziwa, niewdzięczna i wiarołomna.

— Dziecię moje — odrzekł jej kapłan pocieszająco — grzechy twoje zgładzone są przez świadomość ich. Od chwili, w której sama siebie obwiniasz o niegodziwość i niewdzięczność, niegodziwą i niewdzięczną już być przestałaś. Pokój z tobą!

I zrobił znak krzyża nad pokutnicą. Ona zaś pozostała klęczącą na stopniu i płakała, aż ją odepchnęło kilka kobiet swarliwych, które także chciały przystąpić do spowiedzi.

Młody kapłan czuł, że dziewczę owo niepocieszone odeszło od konfesyonału. I gdy w końcu zamknął oczy, widział ją we śnie, jak z rozwianym włosem leżała u jego nóg, ale w postawie daleko powabniejszej i więcej wzruszającej, aniżeli Magdelena u stóp Zbawiciela.

Daleko wcześniej, zanim słońce ozłociło gór wierzchołki i dalekie Alp lodowce, Emanuel wrócił do kościoła, żeby zaspokoić pragnienia coraz liczniej napływających tłumów.

Na górze pełno było ludzi. Wszystko cisnęło się do świątyni, żeby zobaczyć obraz cudowny. A gdy rozległ się głos dzwonu i poważnie zabrzmiały organy, istny zaczął się szturm i wielu siłą próbowało zdobyć sobie wstęp na mszę uroczystą. Wzburzenie umysłów wzrastało z każdą chwilą, a gdy skończyła się msza, pod naciskiem gwałtownym załamała się krata drewniana, dzieląca prezbyteryum od nawy kościelnej, i tłum rzucił się do ołtarza, żeby ucałować obraz Matki boskiej. Nagle słyszeć się dały wołania: „Zdjąć, zdjąć obraz święty, wynieść go na powietrze, żeby mogli go widzieć wszyscy!“ Przemocą dostano się do miejsca i wyniesiono statuę z pośród kurzem dymiącej niszy.

Emanuel zadrżał. Jak przy świetle dziennem wyda się ów obraz wstrętny, odarty ze wszystkich ozdób? Ale lud krzyczał, wył i płakał z zachwytu, kiedy postać z krzewu wyrosłą obnoszono po górze. Co więcej, zapał i cześć wielu do najwyższego doszły stopnia, skoro na własne ujrzeli oczy, o czem tak często z niedowierzaniem słuchali, jakoby obraz ten nie był dziełem rąk ludzkich, lecz wszechmocy bożej.

Uniesieni nie pozwolili księdzu dojść do słowa. Zbiegowisko wszakże skończyło się szczęśliwie, i obraz napowrót wstawiono do niszy. Przebył on dziś próbę ogniową, prawdziwość jego uznał głos ludu, głos boży, a wątpliwość zdawna w duszy Emanuela nurtująca zdawała się rozstrzygnięta.

i Carteja lub już późniejszych rzymskich grodów... jak dzisiejsi podróżni szukają gruzów świątyni Salomona, Babilonu i Niniwy, Teb stubramnych lub miejsca, na którem stał Ilion, żyjący jeszcze wieszcza życiem.“

Zasadę zaś główną, czy też prawo, na którem wszystkie te objawy polegają, Sup. tak wypowiada:

„*Wszystko* się przeobraża, powstaje i niknie; powstaje, by zniknęło, niknie, by ustąpiło miejsca nowemu. Człowiek objąć nie może tego ogromu życia powszechnego; on gubi ślady przeszłości, *a przecież przeszłość ta nie jest dla niego straconą. On od niej odrywa pojęcia ogólne i te z sobą unosi.* On widzi, że *ruch jest istnienia warunkiem* a ruchu następstwem *jest zmienność*; że przeto nieprzerwane istnienie objawiać się musi nieustającym ruchem i przemianami. *Niepokój*, towarzyszący *umysłowi* człowieka *jest tego samego prawa następstwem*; prawa *niezależnego od istoty*, która mu ulega, tak *jak powstanie* samo *odbywa się bez wiedzy rzeczy istnieć mających.*“

(D. c. n.).

L. Gumplowicz.

PSYCHOGIENEZA.

I.

Wydatną cechą współczesnej nauki jest dążność sprowadzenia wszystkich zjawisk i form bytu do jakiejś najprostszej, pierwotnej postaci. Gdy drobiazgowa obserwacya i analiza szczegółów były przez czas długi zasadą ścisłego specyalnego badania, widzimy teraz, iż najznakomitsi przedstawiciele ścisłej nauki usiłują przekroczyć zakres swego przedmiotu i podnieść się do ogólnego poglądu. Teorya rozwoju, okazująca pochodny związek ustrojów, teorya komórkowa Schwanna i Schleidena, sprowadzająca wszelką budowę organiczną do zasadniczego typu komórki, wreszcie teorya atomistyczna, która materyę przedstawia jako kombinacyę atomów, a siłę, jako postać ich ruchu—dają szeroką bardzo podstawę dla syntezy. Ostatecznie wszelkie tłómaczenie naukowe zejść musi do procesu molekularnego; czego sprowadzić nie można do pewnej formy ruchu—to niepodobnem jest do wyjaśnienia w naukowem znaczeniu wyrazu. A takiem właśnie faktem, specyficznie różnym i niewspółmiernym z procesem ruchu molekularnego jest—*umysł*. Stwierdzamy tylko, iż zjawiskom tego umysłu stale towarzyszy materya a raczej ruch, ale nic więcej. Iść dalej i uznawać między jednem a drugiem stosunek następstwa, przyczynowości — znaczy to zaprzeczać prawu zachowania energii czyli brać zupełny rozbrat z myśleniem naukowem.

W samej rzeczy, możemy albo przyjąć, że ruch atomowy i świadomość wzajemnie w siebie przechodzą: a więc ruch fizyczny przechodzi w czucie, lecz to znaczyłoby, że rzecz rozciągła zamienia się na nierozciągłą, czyli równałoby się zupełnemu zniknięciu pewnej ilości siły; jeżeli odwrotnie świadomość przechodzi w ruch fizyczny—np. wola wywołuje ruchy mięśni, uczucie—zwężenie naczyń itp., to znowu z rzeczy nierozciągłej, jaką jest świadomość, powstaje zjawisko rozciągłe, t. j. siła, pojmowana jako atomy będące w ruchu, to zaś znaczyłoby poprostu, że w danej chwili pewna ilość siły została stworzoną z niczego: widzimy, iż to przypuszczenie prowadzi do absurdu.

Albo też możemy przyjąć, że w chwili powstania świadomości, ruch fizyczny wcale w nią nie przechodzi, że świadomości tylko towarzyszy postać ruchu, który sam wiąże się w ścisły łańcuch innych ruchów poprzedzających i następujących, z nich równoważnie powstaje i w nie przechodzi. Lecz i w tym wypadku fakt świadomości, ze stanowiska prawa zachowania siły, niemniej pozostaje niezrozumiałym. Oto w szeregu stanowiącym energię ruchu mechanicznego, energię ciepła, elektryczności itd., wskutek szczególnej kombinacyi warunków, wywiązuje się nowa postać—energia świadomości; *jako ruch* odpowiadać ona będzie każdej innej energii i ilościowo ją równoważyć, ale będzie miała nadto cechę, jej tylko wyłącznie służącą i nieobecną w jakiejkolwiek innej postaci—cechę nierozciągłego zjawiska świadomości. Skądże się tutaj bierze ta cecha, z czego ona powstaje? Myśl tę możemy bardziej jeszcze uwidocznić. Przypuśćmy, iż znamy już wszelkie formy energii, a więc i tę jej formę, którą uważaćby można za bezpośredni podkład świadomości, oraz, że zdołaliśmy znaleść mechaniczny równoważnik dla każdej formy energii, tak jak obecnie znamy mechaniczny równoważnik ciepła. W takim razie moglibyśmy oczywiście wszelką formę energii wyrazić w kilogrametrach, a więc moglibyśmy ułożyć np. następującą formułę: 425 kilogrametrów=1 calowi=*X.* jednostek energii świetlnej=*Y.* jednostek energ. elektrycznej...=*Z.* jednostek energ. świadomości. W równaniu tem, pamiętajmy, każdy wyraz oznacza pewien rodzaj *ruchu* i pewną jego *ilość* równoważną ściśle ilości innego ruchu, tak iż w jakimś zamkniętym systemie sił jedna energia mogłaby przy odpowiednich warunkach przechodzić *w całości* w inną, a więc ruch energii elektrycznej w ruch en. chemicznej, albo ruch en. świadomości; lecz zauważmy, że w pierwszej przemianie skutek, t. j. ilość ruchu en. chemicznej odpowiada ściśle *co do ilości* zjawisku poprzedniemu—ruchowi en. elektrycznej; tymczasem w drugiej przemianie: ruch en. elektrycznej na ruch en. świadomości, wskutku prócz równoważnej ilości ruchu mamy jeszcze coś więcej, mianowicie zjawisko świadomości. *Ilość ruchu* w każdej formie energii, czyli w każdym wyrazie powyższego równania, w myśl prawa zachowania siły, musi być równą ilości ruchu innego wyrazu; a więc wyraz „*Z.* energii świadomości,“ pojmowany jako pewna ilość ruchu, jest już *zupełnym równoważnikiem* każdego z wyrazów poprzednich. Świadomość zatem jest jakiemś *nadto*. Gdyby zaś ktoś utrzymywał, że poprzednia forma energii np. „*Y.* energii elektrycznej“ przechodzi nietylko w ilość ruchu oznaczoną „*Z.* energ. świadomości,“ ale *po części* i w *czucie* t. j. że „*Y.* energ. elektr.=*Z.* energ. świadom. +*czucie* świadome,“—to oczywiście wpadłby w absurd, który wyżej zaznaczyłem: twierdziłby ni mniej ni więcej, tylko że pewna cząstka ruchu materyalnego a więc rozciągłego przeszła w zjawisko *nierozciągłe* czucia, czyli, coto samo znaczy, że znikła zupełnie. Kto znów nie znajduje żadnej trudności w pojęciu tego, że ruch, który był elektrycznością lub ciepłem, staje się świadomością, ten poprostu ulega złudzeniu: przedstawia sobie, że między tem, co nazywamy np. światłem, a ciepłem, jest jeszcze jakakolwiek różnica, prócz różnicy w formie lub szybkości rozciągłego ruchu, różnicę tę mimowoli wyobraża sobie jako *czucie* światła i ciepła, jakoby *tkwiące* w przedmiotowym procesie i analogiczne zupełnie temu, co zowie w innym razie ogólnie świadomością. Tymczasem, jasnem jest, że prócz różnicy fizycznego ruchu, wszystko, czem się różnią światło i ciepło, jest stanem naszej własnej świadomości, stanem właściwym tylko jednemu rodzajowi energii.

Po nabożeństwie ksiądz wyniósł kielich dla obdzielenia ciałem Pańskiem wiernych, przez sakrament pokuty oczyszczonych.

Lud klęczał w długich i licznych szeregach, a Emanuel każdemu z klęczących okrągły, biały płatek wkładał na język—mówiąc: „O, panie, niegodnym jest, żebyś wszedł do przybytku mojego; rzeknij słowo, a będzie zbawiona dusza moja!“ Skoro przecież ujrzał dziewczę owo o czarnych włosach i dużych oczach, jak klęczała, nabożnie złożywszy ręce, jak zapłoniona otworzyła usta różowe i z ufnością dziecięcą spoglądała na księdza, aż w świętej pokorze długie jej opadły powieki — naraz mu ręka zadrżała i zanim jeszcze hostya dotknęła ust dziewczyny, potoczyła się na płyty kamienne. Dziewczyna krzyknęła:

— O Boże, Bóg mój opuścił mnie! — i padła zemdlona wśród ciżby.

VI.

Emanuel odwiedził ją w jednej z cel schronienia. Leżała na sienniku i zakrywała twarz rękami. Młody ksiądz stał niezdecydowany, nie wiedział bowiem, czy przyszedł tu, jako kapłan, czy też jako człowiek.

— Czy lepiej ci, dziecię moje? — zapytał nieśmiało.

— Ty?! — zawołała dziewczyna zdumiona i zwróciła wzrok na księdza — ty, mężu duchowny, przychodzisz do nędznicy? O, nędzną jestem bez miary, sam przecież widziałeś, jak stroni odemnie Bóg wielki.

Emanuel niebawem przypomniał sobie o wierzeniu ludowem, podług którego zła to wróżba, kiedy przy komunii złamie się hostya lub spadnie na ziemię.

— Dobra istoto — rzekł — co się stało, temu ja sam jestem winien; drżała mi ręka, zeszłej nocy spałem mało i źle. Wzruszyło mnie też zajście z obrazem cudownym — i dlatego stał się wypadek. Proszę cię, przebacz mi. Jeżelibyś zaś może jeszcze coś miała na sercu, czegoś przy konfesyonale powiedzieć nie zdążyła z powodu wielkiego natłoku — teraz masz przed sobą sługę bożego.

Instynktownie niemal Emanuel wszedł na drogę podchwytliwości, chcąc, jako kapłan usłyszeć to, o czem by jako człowiek rad był się dowiedzieć.

— Jesteś zbyt dobry — odpowiedziało dziewczę i uniosło się na posłaniu — a dobroć twoja dodaje mi odwagi. Słyszałam nieraz, że jest spowiedź, w której opowiada się księdzu całe swe życie minione. Ależ, czyż życie jest grzechem? Niech co chce będzie, chciałabym spowiedź taką odbyć przed tobą.

Emanuel chętnie zgodził się na to.

Dziewczyna wstała, zasunęła rygiel drewniany u drzwi, odgarnęła włosy z bladej twarzy i chciała uklęknąć przed księdzem.

Emanuel nie pozwolił jej na to. W czasie spowiedzi powszechnej przyjętem jest, że spowiednik i spowiadający się bez ceremonii siadają obok siebie, jak przyjaciel z przyjacielem, albowiem jest to nietyle oskarżenie grzesznika, ile raczej całkowite wylanie istoty ludzkiej i naradzenie się z ojcem duchownym, jak wytępić i naprawić błędy oraz wady.

Ze dworu słychać było kroki i głuche szepty tłumu pątniczego; o niskie okna często wiatr uderzał z łoskotem.

Emanuel siedział przy małym stoliku i oparł głowę na ręku. Obok na stołeczku siedziała młoda nieznajoma i, ociągając się i wzdychając, tak wreszcie mówić zaczęła:

(D. c. n.).

Widzimy przeto, że jeśli powyższe równanie uważać będziemy jako szereg przeobrażeń energii, w którym każde ogniwo jest skutkiem poprzedniego i przyczyną następnego, to w szeregu tym zjawisko świadomości okaże się nam czemś *naddatkowem*, czemś, co staje zupełnie za obrębem ściśle spójnego szeregu ilościowo równoważnych form ruchu. Albo inaczej mówiąc, jeśli zasadę przyczynowości pojmować będziemy tylko jako inny sposób wyrażenia zasady zachowania energii, to powiedzieć możemy, że *w owym szeregu przeobrażeń energii czyli szeregu przyczyn i skutków dla świadomości przyczyny właściwej niema*. Ponieważ zaś wszelka postać materyi, jakąkolwiekbyśmy pomyśleli, a zatem wszelka istniejąca materya, będzie zawsze tylko pewnym momentem energii ruchu fizycznego, to widzimy jasno, *że na całym obszarze materyi dla świadomości przyczyny znaleść nie możemy*, przyczyny rozumianej w duchu zasady zachowania energii. A jeżeli tak, jeżeli na gruncie pojęć naukowych i nie przecząc koniecznemu wymaganiu wszelkiej nauki, jakiem jest zasada zachowania energii, niepodobna wykazać stosunku przyczynowego między świadomością a czemkolwiek innem, to pozostaje tylko przyjąć stosunek współbytności. Ale współbytności tej nie możemy przyjmować na któremkolwiek z dowolnie wybranych stadyów rozwoju materyi, gdyż w takim razie ciążyłby na nas obowiązek wskazania zjawiska, które bezpośrednio poprzedziło czyli było przyczyną pierwszego błysku świadomości, co, jak widzieliśmy, jest niemożliwem; zatem współbytność materyi i świadomości a raczej ducha przyjąć musimy jako powszechną i wieczną. Na początku była materya i duch, niema materyi bez ducha, jak i odwrotnie: pojęcie atomu zbliża się do pojęcia monady.

Tak to logiczna konieczność doprowadza nas do przyjęcia duchowego pierwiastku, jako pierwotnej cechy materyi. Rzecz widoczna, iż na przyznaniu tem *wiedza* nasza we właściwem znaczeniu nic nie zyskuje, lecz osiągamy stąd tę korzyść, iż pogląd nasz na świat staje się konsekwentnym i jednolitym, że możemy zatrzymać nietykalnem prawo zachowania energii, bez którego nauka traci wszelką podstawę, że wreszcie usuwamy zasadniczą trudność pojęcia i objaśnienia, jak to z bezwzględnej nieświadomości powstać by mogła świadomość.

Sprawę gienezy umysłu i jego rozwoju podniósł u nas dr. Szokalski w świeżo wydanej pracy *) i zajął odnośnie do niej stanowisko, które wyżej zaznaczyłem, a które odpowiada panteizmowi Spinozy i dzisiejszemu monizmowi Haeckla, Noiré, Virchowa. Wszakże przyznać trzeba, iż dr. Szok. poglądu tego nie usprawiedliwia dostatecznie, a raczej opiera go na podstawie, zdaniem naszem, niewystarczającej i chwiejnej, bo na podstawie analogii. Analogia w sprawie tej, słusznie stosowana, może usprawiedliwić przyjęcie duchowego pierwiastku w istotach, bliżej nas stojących, bodaj we wszystkich ożywionych, ale nigdy w materyi wogóle. „Oduchownienie“ tej ostatniej, pomijając zgoła tu zapewne niemożliwy dowód eksperymentalny, opartem być może, jak sądzę, tylko na prawie zachowania energii i na rozumowaniu *reductio ad absurdum*. Użycie zaś analogii doprowadza do tak ryzykownych orzeczeń, jak te, które znajdujemy u dr. Sz. Mówi on o „woli“ atomów (str. 65), ich „zadowoleniu,“ „pożądaniu i wstręcie“ (str. 457), co wszystko nie może mieć żadnego realnego znaczenia. Właściwie nie posiadamy wcale odpowiedniego terminu dla nazwania owego hypotetycznego pierwiastku materyi, albowiem czy Spinoza mianuje go „myśleniem,“ czy Schopenhauer „wolą“ a Noiré „uczuciem,“ to każdy z tych wyrazów więcej mówi, niż jest pożądanem. Ponieważ w pojęciu tem, które przeciwstawiamy materyi, żadna z cech: świadomość, wola ani uczucie, nie jest istotną, ani stałą, prócz jednej cechy ujemnej: nierozciągłości, być może, najwłaściwszem byłoby hypotetyczny nasz pierwiastek nazwać po prostu *pierwiastkiem nierozciągłości*.

Przyznanie duchowej cechy wszystkiej materyi w niczem nie nadwyręża mechanicznego poglądu na świat, a nawet, jak widzieliśmy, właśnie dla ocalenia tego poglądu przyjmujemy duchowość wszechświata. Atom materyalny, czy duchowy jest zarówno bezwładny, t. j. nadawać sobie ani zmieniać ruchu nie może; każda zmiana położenia jest tylko procesem działania i oddziaływania. Zmiany materyalne, rozciągłe i duchowe, nierozciągłe idą z sobą *równolegle*; każdy ruch ma za poprzednika inny ruch, każda myśl—inną myśl; ani materya działać nie może na myśl, ani myśl na materyę. Mówiąc językiem Spinozy, każdy ruch jest postacią (modus) Boga czy natury jako obdarzonej przymiotem rozciągłości, każda myśl — postacią tejże substancyi (Deus sive Natura) jako mającej atrybut duchowości; *modus* ruchu i czucia są współczesne i współrzędne, ale niezwiązane przyczynowo; tak, wrażenie od przedmiotu w mózgu ludzkim jest równoległym, lecz nie przyczynowym odpowiednikiem zmiany molekularnej materyi mózgowej. Kto zaś przypisuje duchowemu pierwiastkowi materyi działanie własnowolne i *przechodzące* na materyę, ten po pierwsze, złudzenie ludzkiej wolnej woli przez błąd analogii uznaje za objaw powszechny; powtóre, twierdząc w ten sposób, przeniewierza się monizmowi i najoczywiściej przechodzi na stanowisko dualizmu: albowiem, przyjmując, że duchowy pierwiastek jako taki może powodować ruch atomu, przypuszczamy, iż w porządku zjawisk duchowych zajść mogła pewna zmiana wprzód i niezależnie od zmiany materyalnej, która dopiero przez pierwszą została wywołana. Zmiany duchowe towarzyszą biernie materyalnym, które następują po sobie wedle praw koniecznych i na zasadzie przyczyn powodujących (causae efficientes). Pogląd monistyczny o powszechnej współbytności materyi i ducha dopuszcza tylko przyczyny powodujące; przyjęcie przyczyny celowej, której mechanizm przyczyn powodujących ulega pośrednio czy tylko dla urzeczywistnienia się w świecie zjawisk, równałoby się twierdzeniu, że istnieje pierwiastek duchowy, odrębny od materyi i działający na nią transcendentnie (przechodząco), co przeciwnem jest założeniu, wedle którego wszelka duchowość, jaka istnieje, istnieje w związku z materyą i stosunkuje się do niej współrzędnie, a nie przyczynowo; jeśli zaś przyczynę celową pojmować będziemy nie jako transcendentną lecz jako immanentną, tkwiącą, to wprawdzie twierdzenie to można pogodzić ze stanowiskiem monistycznem, lecz okaże się, iż przyczyna taka jest celową tylko pozornie, w gruncie zaś rzeczy będzie tylko abstrakcyą ze zjawisk, uogólnieniem przyczyn powodujących, stwierdzeniem pierwotnych własności bytu. I tego rodzaju immanentna celowość—jak np. „dążenie do trwałości,“ „popęd rozwojowy“ itp. nie ma nic wspólnego z właściwą teleologią „czynnej idei,“ „planu,“ „budowniczego“ świata, ale też i nie oddaje tych wrzekomych zasług, dla których, zakrywając luki naszej wiedzy, niektórzy powołują zasadę teleologiczną.

Otóż dochodzimy do tego, iż zgodnie z naczelną zasadą poglądu, w sferze naukowego, tj. przyrodniczego myślenia możliwem jest tylko tłomaczenie świata mechaniczne.

Jednakże przyznać trzeba, że chociaż tłomaczenie to jest jedynie uzasadnionem i, w obecnym stanie rzeczy, jedynie rzeczywistem, to jednak bynajmniej uznać go nie można za wystarczające: potrzeba tłomaczenia transcendentnego, metafizycznego niemniej jest prawowitą i naglącą, a żaden pogląd, który nie uwzględnia przyczyny transcendentnej, uważać się nie może za skończony.

Wszakże jak teraz po za to ogólne przyznanie pójść dalej nie możemy; brak nam bowiem wszelkiego punktu oparcia i przy danym stanie naszego umysłu punktu takiego nawet odgadywać nie możemy. Monizm nie stanowi w tym względzie wyjątku, i myliłby się, ktoby widzieć w nim chciał jakikolwiek zasadnik metafizyczny: jego przyjęcie nierozciągłego pierwiastku w atomie jest tylko hypotezą, być może mniej nawet szczęśliwą od hypotezy eteru lub atomów o określonych kształtach, ale która jak i te ostatnie ma na celu wyrównać pewne sprzeczności i ułatwić objaśnienie. Kto wie, jak wieleby straciła nauka o duszy z ograniczeniem w jej dziedzinie prawa zachowania energii, ten oceni zasługi, które oddaje hypoteza oduchowienia atomów, ocalająca właśnie ową zasadę w całej czystości. Po za tem jednak twierdzeniem, raczej heurystycznej aniżeli zasadniczej natury, monizm zbiega się zupełnie z materyalizmem, wraz z którym zapatruje się na świat wyłącznie jako na zagadnienie mechanicznej natury a teleologię ściga do ostatnich jej kryjówek.

Autor *Początku rozwoju i umysłowości*, również uznając niedostateczność mechanicznego tłomaczenia świata, mniej jednak w jej uzupełnieniu jest wymagającym. Nie przestając na wykryciu pojedynczych, koniecznością określonych ruchów, doszukać się stara zarządzającej nimi rozumnej, kierowniczej myśli i myśl tę znajduje w łonie *wiekuistego tworzywa*. Tworzywo jest to wieczna istność, natura, absolutna zasada wszelkiego bytu, która jednoczy w sobie materyę, siłę i ducha. Duch ten jest Duch Boży, jest to dusza wszechświata (str. 62). *Dusza* wszechświata jest rozumną, twórczą *władzą*, która tkwiąc kiedyś w *chaosie* wytworzyła *zeń kosmos* i *przepisała* sobie prawa, wedle których postępuje (str. 79); z tworzywa wyłania się wszelki objaw i wszelkie istnienie materyalne, a jego ruch samodzielny jest tylko bezpośrednim *woli* jego przejawem (str. 63). Widzi czytelnik, iż w tych pojęciach jest dość treści niejasnej i wątpliwej. Owa dusza, władza, wola tworzywa przypominają bardzo starą teoryę substancyalnej duszy i substancyalnych władz człowieka i niegodzą się w żaden sposób z pojęciem oduchowionych atomów, jako jednostek materyi i ducha. Bóg i natura, będący jednem, przepisały sobie prawa w pewnej chwili istnienia; a zatem przedtem działały niezależnie od jakiegokolwiek prawa, co jednak sprzeciwia się idei Spinozy, do którego dr. Sz. sam się przyznaje; co ważniejsza, ponieważ duch i natura to wszystko, a więc przed ową chwilą nie było zgoła prawa, skądże więc pojęcie jego powstać mogło w owym rozumnym Duchu, który zamierzył je sobie *przepisać*. Jeżeli zaś od pewnej chwili tworzywo działać zaczęło wedle praw koniecznych, to jakże z tym pogodzić, że działa ona jednocześnie samodzielnie i na zasadzie swej woli. Spinoza mógł przyjąć, że jego Bóg czyli Natura ulega konieczności i zarazem jest wolny, gdyż u niego konieczność Natury jest *bezwzględną* w przestrzeni i czasie, a zatem, w braku wszelkiego przeciwstawienia, jest jednoznaczna z wolnością, czyli raczej same te pojęcia konieczności i wolności tracą podstawę. Lecz dr. Sz. określa konieczność tworzywa, jako względną w czasie, poczętą, a tem samem ogranicza wolność i wybierać winien między jedną a drugą.

---

*) *Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie*. Warszawa, 1885. Wydanie z zapomogi kasy imienia Mianowskiego.“ Str. VIII, 468.

Nie kładziemy jednak nacisku na tego rodzaju rzeczy, ważniejszem jest określić, czy i o ile metafizyczna zasada autora posłużyć może dla tłomaczenia i związania zjawisk rzeczywistych.

(D. c. n.).

J. W. Dawid.

GERMINAL.

(Ostatnia powieść Zoli).

Paryż, 2 marca.

Dziś właśnie wyszedł z druku w książkowem wydaniu *Germinal* Zoli, ukończony przed paru dniami w dzienniku *Gil Blas*.

Jest to trzynaste z kolei ogniwo w dziejach rodziny Rougon-Macquartów. Uprzytomnijmy sobie szereg poprzedzających powieści. Idą one w następującym porządku:

La Fortune des Rougon,
La Curée,
La Ventre de Paris,
La Conquête de Plassans,
La Faute de l'abbé Mouret,
Son Excellence Eugène Rougon,
L'Assomoir,
Une Page d'Amour,
Nana,
Pot-Bouille,
Au Bonheur des Dames,
La Joie de Vivre *),
Germinal.

Nicią, łączącą w jedną całość wszystkie te utwory, ma być „historya naturalna i socyalna pewnej rodziny z czasów drugiego cesarstwa.“ Autor śledzi dość pilnie za przejawiającemi się w dziejach jej cechami dziedziczności i nawet w przedmowie do *Kartki miłości* narysował całe jej drzewo genealogiczne. Przyznać atoli należy, że związek ten nader luźny i zdradza w autorze raczej upodobanie do „naturalizmu,“ niż wyczerpujące studya nad dziedzicznością, ciemną dziś jeszcze dla wszystkich naturalistów.

Daleko ściślejszym węzłem dla tej wielotomowej historyi jest wspólne tło i epoka, jaką obrał Zola za pole swych badań. W tym korowodzie obrazów, kreślonych z niepospolitą siłą i plastyką, występuje przed nami społeczeństwo francuskie z doby drugiego Cesarstwa, a głównie mieszczaństwo, długa czereda przedstawicieli stanu trzeciego we Francyi. „Naturalizm“ okazał się równie mało łaskawym dla tego mieszczaństwa, jak i romantyzm. Zola staje na stanowisku anatoma-patologa i maluje nam w barwach żywych, językiem dosadnym i ostrym często, jak cięcie lancetu, klasę zepsutą i rozkładającą się, pełną niskich i samolubnych instynktów, pod naciskiem której ginie, w ten lub ów sposób, wszystko, co by chciało żyć bujniej, inaczej.

Lud właściwy, warstwy robotnicze, odegrywały dotąd w tych powieściach rolę tła lub greckiego chóru—jak np. w *Pot-Bouille*, który kończy się dobitną sensacyą kucharek: „cochon et compagnie.“ Klasy robotniczej bezpośrednio dotknął Zola w *Assomoir*. Pisał on wówczas w przedmowie, że „jest to dzieło prawdy, najczystsza (*la plus chaste*) z moich książek, pierwsza powieść o ludzie, która nie kłamie“ i którą, jak się charakterystycznie wyraził „czuć ludem“ (*qui ait l'odeur du peuple*). *L'assomoir* jednak przedstawiał dzieje paru rodzin, należących raczej do wielkomiejskiego drobnego mieszczaństwa, niż do „stanu czwartego,“ i robotników, jako klasy, nie dotykał. Nie było tam przytem żadnej charakterystyki ogólnej, lecz kilka rysów życiowych, dotyczących głównie genezy pijaństwa i jego skutków.

W *Germinalu* wypłynął autor z rozpiętymi żaglami na szerokie morze stosunków robotniczych i ukazał nam mnogi lud górniczy, wzdymany wielkiemi falami, zapowiadającemi burzę. W poprzednich powieściach mistrz francuskiego naturalizmu przedstawiał rozkładające się mieszczaństwo—tu chciał wskazać kiełkujący zarodek nowego świata. Nazwa odpowiada właśnie temu zdaniu. W kalendarzu pierwszej rewolucyi *Germinal* jest miesiącem wiosennym (20 marca — 20 kwietnia), w którym wszelkie ziarno tkwiące w ziemi pęka i wyrasta. Powieść kończy się czarującym obrazem wiosennego zarania, kiedy budzi się do życia cała natura, w łonie której kiełkuje powoli nowa ludzkość dla obfitego zbioru w wieku przyszłym.

Wierny swej metodzie Zola nie przedstawia bynajmniej żadnej *insula Utopia*, nie idealizuje ludu, lecz maluje ludzi, jakimi są i kreśli z wielką znajomością rzeczy budzące się do życia kierunki. W przedmowie do poprzedniej swej powieści z życia ludu, pisał on z powodu kilku ujemnych typów, jakie tam przedstawił: „nie należy bynajmniej z tego wnioskować, że cały lud jest zły, a i moje osobistości nie są bynajmniej złemi — one są tylko nieoświecone (ignorants) i zepsuto przez otoczenie ciężkiej pracy i nędzy w jakiem żyją.“

Kilka słów o warunkach, w jakich Zola stworzył swej *Germinal* i o materyale, jakim się posługiwał. Szczegóły te przyniosła właśnie *Revue des journaux et des livres*. Zamierzając napisać powieść z życia górników, szukał sposobności zapoznania się z niem bliżej. Sposobność ta nadarzyła się podczas długotrwałej zmowy w kopalniach węgla w Anzin, na wiosnę roku zeszłego. Przepędzając zazwyczaj lato nad morzem w Bretanii, autor poznajomił się z p. Giard profesorem w Lille, i jednocześnie posłem okręgu do którego należy Anzin. P. Giard zasiada w Izbie na skrajnej lewicy, przebywając zaś nad morzem pracuje wspólnie z profesorem Robin w specyalnem laboratoryum, które założono w Concarneau. Znajomość między dwoma „naturalistami“ łatwo przyszła do skutku i wybornie posłużyła Zoli. W czasie zmowy poseł podążył przed swoich wyborców-górników dla wysłuchania ich życzeń, i zabrał z sobą na tę wyprawę powieściopisarza—ażeby zaś ten mógł zyskać zaufanie miejscowej ludności, i żeby stały dla niego otworem wszelkie tajniki kopalni, Giard przedstawił go jako przybocznego swego sekretarza, pod fałszywem oczywiście nazwiskiem. W tym charakterze przepędził autor kilka tygodni w Anzin i zebrał obfity materyał do swej powieści. Zwiedzał kopalnie, przypatrywał się życiu robotników, bywał na ich zebraniach, badał stosunek do zarządu kopalni i układał sobie w myśli i na papierze szeroki obraz, w który miał następnie tchnąć życie. Skrupulatnego naturalistę martwiło podobno osobne narzecze, jakiem mówili górnicy w Anzin. Nie mógł przecie języka tego włożyć w usta bohaterów swej powieści. Poradził sobie jednak w ten sposób, że pozwolił robotnikom górniczym przemawiać językiem ich towarzyszy paryskich i pozostawił niektóre tylko wyrazy i wyrażenia w ich brzmieniu miejscowem.

Bohaterem opowiadania, jeżeli może tu być mowa o jednym jakim bohaterze, jest Stefan Lantier—syn praczki Gervaisy z *Assomoiru* i brat Nany. Czytelnicy pierwszej z dwu powieści, noszących powyższe tytuły, przypominają sobie, że Gerwaza chłopca swego przy pomocy Goujet'a wysłała na północ, do Lille, na naukę do mechanika. W *Assomoirze* jednak parę słów jest tylko o małym chłopcu, podczas gdy całe dzieciństwo i pierwszą młodość Nany autor opisał już w tej powieści. *Germinal* rozpoczyna się właśnie wspaniałym obrazem, gdzie widzimy młodego robotnika Stefana Lantiera, idącego przez pola w zimną noc marcową i poszukującego od paru dni bezskutecznie zajęcia. Przypadkiem udaje mu się dostać miejsce górnika w Montson, obok Anzin, w szybie Voreux. W osadzie, którą zamieszkał, rozegrywa się cały dramat. U samego wstępu Stefan spotyka młodą, sympatyczną robotnicę Katarzynę, miłość ta jednak nader niefortunna i przechodząca dziwne, tragiczne koleje, nie wypełnia całej jego istoty. Zajmuje on się żywo losem świeżo poznanych robotników, myśli wiele nad sprawami społecznemi, uczy się i zyskuje wkrótce wielki wpływ w osadzie. Przychodzi następnie, a raczej rozżarza się tylko tlejący oddawna „naturalny“ antagonizm między górnikami a przedsiębiorstwem kopalni; następuje zmowa, zebrania i zaburzenia robotnicze ze wszystkiemi ich zwykłemi następstwami. Autor z nieporównanym mistrzowstwem i uderzającą prawdą nakreślił smutne, okropne często dzieje tego ruchu. Nikt jeszcze tak głęboko nie wniknął w psychologię podobnych stosunków, nikt nie podpatrzył tak dokładnie i trafnie wszystkich przyczyn, wywołujących podobne zjawiska, nikt tak tego wszystkiego nie odczuł i nie zobrazował. Powieść Zoli jest w tym względzie prawdziwie epokową. Opowiadanie snuje się około rodziny Maheu, porządnej, pracowitej, rozsądnej rodziny robotniczej. Autor pokazuje jednak krok za krokiem, jak wymagania zarządu kopalni, opinie Stefana, głód zresztą i różne zajścia wysuwają tę spokojną familię na czoło buntowników. Ta część opowiadania obfituje w wspaniałe i przejmujące grozą ustępy. Autor zaznacza kierunki, przejawiające się zwykle w tego rodzaju starciach we Francyi. Żywioły umiarkowańsze reprezentuje niejaki Rasseneur właściciel gospody, b. robotnik kopalni, Stefan jest przedstawicielem burzliwszych, anarchia ma swego wodza w osobie rosyjskiego emigranta Suwarina, typ narysowany z niepospolitą intuicyą. Zola nie zapomniał nawet o przedstawicielu katolickiego socyalizmu, wzrastającego coraz bardziej we Francyi. Jest nim l'abbé Ranvier, który głosi zagładę mieszczaństwa i zapowiada, że Bóg za jego nieprawości przejdzie całkowicie na stronę robotników.

Jako odpowiednik do obozu robotniczego kreśli Zola kilka postaci z zarządu kopalni (dyrektor Hannebeau i jego żona, inżynier Negrel), jednego z mniejszych przedsiębiorców, który nie może wytrzymać współzawodnictwa z kompanią i ulega, rodzinę wreszcie akcyonaryuszów—rentierów, trawiących w spokoju dochody płynące z kopalni. Całego tego świata nie maluje w ciemnych wyłącznie kolorach. Światła i cienie umie rozłożyć z niezwykłą miarą, lubo sympatya jego leży więcej po stronie wydziedziczonych. Katastrofa zresztą dotyka wszystkich zarówno, lubo silniejsi wychodzą z niej zawsze zwycięzko. Opowiadanie kończy się słowami Mahedy, która mimo ciężką klęską wierzy w tryumf słuszności, „gdyby zaś Bóg nawet był na to głuchy—musiał by się zjawić jakiś inny na jego miejsce.“

Nie podobna nam tu w kilku słowach streszczać wszystkiego tego, co zawiera powieść. Życiową stronę osady górniczej przedstawia Zola ze zwykłą sobie plastyką i wyrazistością. Niektóre obrazy są tak nagie, jak życie samo. Autor patrzy zresztą na nie nie jak cynik, chciwy zgorszenia, lecz jak artysta i filozof, głębiej przejęty humanitaryzmem dla którego *naturalia non sunt turpia* i który w brzydocie umie dopatrzeć treść prawdziwie ludzką. Język opowiadania jest znanym językiem Zoli — silny, dosadny, obrazowy. Pod względem

---

*) Wszystko tłómaczone na język polski. *Red.*

artystycznego wykończenia i dramatyczności opowiadania *Germinal* przewyższa niewątpliwie wszystkie poprzednie utwory Zoli. W żadnym z nich nie objął on tak szerokiej treści i tylu kwestyj nie poruszył. Zeszedł tu nawet ze zwykłego sobie chłodnego objektywizmu, na który się wysila dla utrzymania „metody," lubo temperament artysty i przekonania zmuszają go niejednokrotnie do przekroczenia tego ciasnego zakresu. Wiele scen przytem owianych jest porywającą poezyą lub grozą.

Streszczając całe nasze wrażenie powiedzieć możemy, że po *Les Miserables* Wiktora Hugo, w których romantyzm podjął sprawę wydziedziczonych, żaden utwór nie poruszył tego samego pytania z taką siłą i artyzmem jak *Germinal* Zoli.

Może się mylimy, sądzimy jednak, że w powieści tej talent Zoli doszedł do punktu szczytowego, i kto wie, czy na tem dzieje rodziny Rougon—Macquartów się nie zakończą.

Niedawno zresztą, na uczcie poświęconej pamięci założyciela szkoły impresionistów w malarstwie Maneta, Zola zdradził się przed jednym z dziennikarzy z żywych swych pragnień zreformowania teatru. Reporter znalazł go dość obojętnym dla naturalizmu powieściowego, który już utorował sobie zwycięzką drogę, nader natomiast zainteresowanym wszystkiem co dotyczy sceny.

Może więc Zola tam zwróci obecnie swą działalność twórczą. Dotychczasowe jego próby były dość nieszczęśliwe — może jednak były to tylko próby? W każdym razie umysł tak niezależny i talent tak wielki, i na tem polu mógłby zdziałać zapewne nie mało. *).

E. P.

*) Wątpimy. Nie nadaje się do tego ani „metoda," ani talent Zoli, który całą sztukę zamknął w naturalizmie, pozbawionym nawet figowego listka lub murzyńskiej przepaski. Zola jest reformatorem, ale także sekciarzem. *Red*

PAMIĘTNIK FIZYOGRAFICZNY

(wydawany)

Dziewulskiego i B. Znatowicza.

Wszelki poważny ruch naukowy tak słabo jest u nas rozbudzony, poczucie obowiązku pracy naukowej tak rzadko spotkać można śród młodzieży i ludzi starszych, zajmujących w społeczeństwie stanowiska, gdzie praca taka najpierwszym jest obowiązkiem, życie naukowe na każdem polu, a w szczególności na polu przyrodoznawstwa tak nam jest jeszcze obcem, że wszelki objaw ruchu w tym kierunku gorąco należy witać. Z nielicznymi tylko wyjątkami ogół „naszych uczonych" dziwnie mało przyczynia się do ogólnego postępu umysłowego ludzkości, najdrobniejsze też dorobki pod tym względem, mające chociażby pośredni tylko związek z wiedzą ogólną, stanowią fakty niezmiernie pocieszające.

Wobec tego niezwykle cieszyć nas winno rozpoczęcie *Pamiętnika fizyograficznego*, mającego skromne zadanie—poznawania przyrody ziemi rodzinnej. Prace i wydawnictwa fizyjograficzne pojawiają się we wszystkich ucywilizowanych krajach Europy; każdy naród, roszczący sobie prawo do życia, uważa za swą powinność—dokładne poznanie ziemi, którą zamieszkuje, martwej jej i żywej przyrody. Obowiązek ten bez porównania łatwiej wypełnić się daje gdzieindziej, niż u nas. Gdzieindziej są stowarzyszenia naukowe, instytucye, rozporządzające znacznymi funduszami; ludzie, oddający się badaniom naukowym znajdują odpowiednie środki; u nas wszystko skromne, ubożuchne. A jednak *Pamiętnik* nasz śmiało współzawodniczyć może pod względem treści i formy z zagranicznemi wydawnictwami fizyograficznemi.

Czwarty już tom z kolei prasę opuścił, a że wydawnictwo to ma w sobie wszelkie warunki trwałości, dowodzi tego treść, wzbogacająca się z każdym rokiem. W tomie ostatnim znajdujemy, jak w poprzednich, prace ze wszystkich prawie działów fizyografii krajowej. W dziale meteorologii i hidrografii spotykamy rozprawy: p. J. Kowalczyka, wykazującą spostrzeżenia meteorologiczne Obserwatoryum Warszawskiego z r. 1881 i 82, p. A. Pietkiewicza o zmienności rocznej ciśnienia powietrzni w Warszawie, oraz Dr. J. Jędrzejewicza—spostrzeżenia stacyi meteorologicznej w Płońsku za r. 83. W dziale gieologii widzimy o wiele większą obfitość, aniżeli w tomie III-im *Pamiętnika*. Prof. Trejdosiewicz zebrał i podał z rękopisu, pozostałego po W. Kosińskim, zawcześnie niestety dla goologii krajowej zmarłym, pracę, traktującą o badaniach gieologicznych, dokonanych w gubernii Kieleckiej i Radomskiej w ciągu lata r. 80. P. A. Michalski zapoznaje nas z zarysem gieologicznym strony południowo-zachodniej gubernii Kieleckiej. P. W. Choroszewski przełożył zestawił i podał rzecz ś. p. L. Zejsznera o poszukiwaniach gieologicznych w południowo-zachodnich okolicach Królestwa, a przeważnie w górnej dolinie rzeki Warty. Podobnie też p. B. Rejchman podaje w dalszym ciągu przekład pracy ś. p. B. Puscha „Nowe przyczynki do Gieognozyi Polski." P. A. Michalski przedstawia rezultaty geologicznych badań swych, dokonanych w 83 r. w północno-zachodniej części gubernii Radomskiej i Kieleckiej. Wreszcie Dr. Kozłowski opisuje powstanie nasypów nadbrzeżnych, przesypów i rew zatoki Gdańskiej.

W dziale botaniki i zoologii, podobnie jak w latach poprzednich, znajdujemy treść bogatą. P. K. Łapczyński zdaje sprawę z wycieczki na Litwę i nad Bałtyk, zapisując przeważnie spostrzeżenia botaniczne, p. Eichler przedstawia spis mchów, widłaków, skrzypów i paproci, zebranych w dobrach międzyrzeckich oraz w trzech innych miejscowościach gub. Siedleckiej, p. W. Łopott poznajamia nas ze spisem zebranych wodorostów okolic Warszawy, Dr. Fr. Kamieński opisuje roślinę *Matricaria discoidea*, zbliżoną do rumianku zwyczajnego, a przedstawiającą nowy nabytek flory krajowej. Wreszcie pani M. Twardowska podaje przyczynek do flory Pińszczyzny.

Z rozpraw zoologicznych znajdujemy: p. A. Wałeckiego monografię zwierzątka myszowatego *Sminthos*, dalej Dr. J. Schnabla i Dr. Dziedzickiego, opis nowych gatunków much krajowych, p. F. Osterloffa—spis chrząszczów krajowych, p. A. Ślósarskiego—opis znalezionych u nas szczątków zwierząt kopalnych, a specyalnie nosorożców dyluwialnych, wreszcie p. R. Sobkiewicza wzmiankę o zwierzętach i roślinności okolic Żytomierza.

Z dziedziny antropologii znajdujemy trzy prace; p. T. Łuniewski opisuje cmentarz starożytny w Czekanowie, Dr. L. Dudrewicz—mogiły kamienne w Tkaczewie, a wreszcie Dr. Jan Karłowicz podaje studyum lingwistyczno-archeologiczne o chacie polskiej.

Widzimy z pobieżnej tej wzmianki, iż treść *Pamiętnika* bardzo jest urozmaiconą, liczne przytem piękne mapy kolorowe i tablice dowodzą, iż wydawcy nie szczędzą kosztów aby w jaknajstaranniejszem opracowaniu materyał fizyograficzny kraju przedstawić. Aż dotąd atoli poszukiwania fizyograficzne prowadzone są u nas z funduszów prywatnych; trudno więc obecnie o większą systematyczność i ciągłość w badaniu przyrody kraju. Wielkie prawo przystosowania, wywołujące przy wszelkich warunkach i okolicznościach nowe środki do zachowania życia, jak w wielu innych, tak i w tym razie przyszło nam z pomocą. W braku czego innego z inicyatywy redakcyi *Wszechświatu*, tak trudne warunki bytu mającej, wprowadzono u nas roku przyszłego wycieczki botaniczne do okolic kraju najmniej zbadanych. Wycieczki podobne, nadal przez różnych specyalistów prowadzone, mogą się przyczynić w wysokim stopniu do systematycznego zbadania kraju. Rezultaty kilku z nich zamieszczone będą w przyszłym już tomie *Pamiętnika*.

Wykształconemu ogółowi dowodzić pożytku badań przyrodniczych oraz znaczenia nauki wogóle dla rozwoju życia narodowego—zupełnie jest zbytecznem. Biada społeczeństwu, którego obywatele utracili poczucie poważania i popierania tych badań. Nie wszędzie atoli wiedza specyalna tak bardzo uczuwa potrzebę pomocy ze strony ogółu, jak u nas, gdzie warunki jej rozwoju tak bardzo są utrudnione.

Fundusz, obrócony na nakład czterech tomów *Pamiętnika* dosięga 10,800 rubli, niedobór zaś w chwili obecnej wynosi jeszcze 4,500 rubli, które pokryć by można częściowo *przez większą rozprzedaż dzieła.* „Daleko nam jeszcze do tego—piszą wydawcy—żeby rozprzedaż książki zwracała nakład na nią poniesiony; w każdym jednak razie możemy przynajmniej łudzić się nadzieją, że w dalekiej przyszłości dojdziemy do tego pożądanego stanu." Czyż nasz ogół wykształcony tak źle pojmuje własny swój interes, tak mało o własne swe dobro, o życie swe umysłowe jest dbały, iż pozwoli długo jeszcze czekać, zanim nadzieja ta się ziści?

J. N.

PRZEGLĄD SZTUKI PLASTYCZNEJ.

II.

Wystawa Towarzystwa zach. szt. pięk.

A teraz przejdźmy się trochę po naszym artystycznym salonie. Tuż obok Brozika jakiż kontrast! Wielka konopiana peruka, ciało jak z pomadki cukrowej, usta szerokie, rozwarte w niesmacznie kokieteryjnym uśmiechu, wielkie podsmarowane ołówkiem oczy... To *Fatme*—odaliska.

Licha fantazya na temat aktorki, nie przynosząca zaszczytu artyście, niesmaczna i słabo malowana. Tu pod nią krajobraz Kochanowskiego, szkicowy, trochę pobieżny, ale mający piękne szczegóły... Ten kawałek słońca zachodniego w gąszczu drzewnym odbijający się w wodzie, skradziony naturze, wcale dobrze i lepiej od całego otoczenia pejzażu. Idźmy dalej. Oto kłoda świętego drzewa rzucona w fale „Świtezi" akwarella p. Fałata, pełna charakteru i siły. W drugim pokoju spotykamy wreszcie dzieła niedawno premiowane. U p. Kowalskiego *Jesień* to żydowska szkapa zaprzężona do bryczki, parkan i małomiasteczkowe domy, nagie gałęzie drzew po nad dachami, żydziak z pugilaresem, niebo pokryte ciężkimi chmurami a na przodzie bruk ze słomą i wróblami, które biesiadują w końskim gnoju... Malowane to bardzo dobrze, wykończone wiernie, ale jakież nudne, trywialne... Człowiek, pragnący sobie zbrzydzić życie ze szczętem, dokona tego skutecznie, zawieszając mieszkanie takimi obrazami. Wolę już nie premiowaną *Matkę* p. Ejsmonta, bo to ładna, hoża kobiecina, aż miło na nią patrzeć. Artysta ją trochę wymuskał, wygładził nie po wiejsku, ale nie dziwnego, bo warto taką kobiecinkę skokietować choćby pędzlem.

Oddając cześć nagrodzonym rzućmy okiem na *Lwa Marabuta* p. Muszyńskiego, który jest dobrze, lubo z niewielką siłą malowaną sceną życia arabskiego, i powiedzmy, że *Mojżesz* p. Merwarta, pomimo nielogicznej kompozycyi ma dosyć wdzięku w kolorycie, że wreszcie nie premiowany obraz p. Grocholskiego *Przy łożu chorej* pomimo błędów w malowaniu ciała, posiada dosyć smutku i uczucia. Ale czy można znaleść na wystawie coś takiego, co mnie pociągnie i zatrzyma, taki obraz do którego wrócę się mimowoli obejrzawszy wszystkie inne? Znalazłem—to pejzaż p. Kochanowskiego, przedstawiający wschód księżyca. Struga, na niej mostek, w dali chaty wioskowe, na lewo konary brzóz rosnących nad brzegiem, a na szarawem niebie wśród powoli zapadających mroków... blady krąg księżyca. Tak niewiele i tak dużo! Patrzę i mimowoli zapominam, że stoję przed obrazem. Nie widzę farb, poruszeń pędzla, ale miły, poetyczny wizerunek przyrody swojskiej, schwycony żywcem, piękny w swej prawdzie. Wszystko wypukli się w oczach, spływa w harmonijnym tonie, tchnie jakimś uroczym spokojem, ciszą sennego wieczoru. A jak to malowane, jak skończone, jak odczute po swojemu oryginalnie... Witamy w p. Kochanowskim dzielnego pejzażystę, cieszymy się, że porzucił brawurową mazaninę, że umie patrzeć w naturę i maluje prześlicznie.

A teraz jeszcze jedno *brawo* na cześć p. Welońskiego. Jego *Gladyator* spiżowy, stojący na środku sali jest imponujący. Spojrzyjcie tylko na te potężne mięśnie, modelowane po mistrzowsku, na te krzepkie bary, na ciało jędrne a gibkie, na małą typową głowę, osadzoną w tęgim atletycznym karku! Stąpa, jakby w ziemię wrastał. Na twarzy ma jakiś dziki szał odwagi; podniósł rękę do góry, tak jak zwyczaj każe gdy idąc na bój śmiertelny mówi przed lożą do władcy: „Morituri te salutant, Caesar!“ Jest to dzieło, przynoszące zaszczyt polskiej rzeźbie. Artysta wskrzesił tu w spiżowych kształtach typ antyczny, ale tchnął weń życie nieznane antykowi. Układ figury i akcesoryów znakomity, wykonanie pod względem anatomicznym bez zarzutu, odlew śliczny. Dyletancka krytyka lekceważyła sobie u nas to dzieło, które wszędzie zyskiwało należyty poklask. Publiczność, nie mająca pojęcia o dobrej rzeźbie, przechodzi koło rzymskiego posągu, bo wogóle nie lubi wszystkiego co... pachnie gramatyką i tirocinium. Nic w tem dziwnego, nasza prozaiczna i rozmiękczona filisterya nie zdoła odczuć i ocenić głównego przymiotu tego dzieła—męskiej siły.

S. K.

W SPRAWIE KONKURSU ROLNICZEGO.

Wrzekoma niespodzianka, jaka spotkała nasze rolnictwo skutkiem obniżenia się ceny na płody rolnicze, miała i ma jedną dobrą stronę: rozbudziła rolników. Nie oznacza to bynajmniej, aby zbudzeni zabrali się nazajutrz do pracy, ale już myślą o tem jutrze i radzą; przedewszystkiem zaś radzą. W naradach wszakże tkwi tylko odrobina pożytecznych myśli.

Za zasługę prasie specyalnej należy policzyć, że gorliwie zajęła się przesileniem w rolnictwie; zasługa ta odnosi się głównie do *Ziemianina* i *Gazety rolniczej*, które usiłują nadto wskazać środki zmniejszenia lub usunięcia złych następstw obecnego stanu, w jakim znajduje się rolnictwo — nietylko zresztą polskie. Kilka rad, a raczej komunałów, drukowanych w tym przedmiocie w codziennych i miesięcznych pismach, chociaż zatytułowanych „naukowe i literackie,“ nie mają dla praktycznego rolnictwa żadnego znaczenia. O tem też i mówić nie będziemy.

Obecnie mamy na myśli konkurs, czyli raczej projekt konkursu, podjęty przez redakcyę *Gazety rolniczej*. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeżeli rolnictwo ma poczerpnąć jakie wskazówki i radę na przyszłość, to drogą konkursowej pracy łatwiej do tego dojdzie, niż drogą narad, które są i krępowane i ograniczone kółkiem często zbyt miejscowem, a przytem pozbawione są kierownictwa i uczestnictwa ludzi specyalnie wykształconych.

„W jaki sposób prowadzić nadal gospodarstwa, aby wyrównać w nich niedobory powstałe w skutek obniżenia cen ziarna, a głównie pszenicy?“

Tak praktycznie przez *Gazetę rolniczą* postawiona kwestya znalazła w kraju odgłos, bo już w nr. 3, po otrzymaniu od ziemian lubelskich 300 rs. podniesiono nagrodę konkursową do rs. 600 z pewnemi zastrzeżeniami.

I myśl konkursu i potrzeba zaradzenia biedzie były bardzo na dobie; największym dowodem, że w nr. 8 *Gazeta roln.* ogłosiła nowy temat, postawiony przez p. Zenona Hołowińskiego, który przeznacza za rozprawę konkursową *od siebie* rs. 300.

Żąda on odpowiedzi na pytanie:

„W jaki sposób najbardziej korzystny prowadzić gospodarstwa ukraińskie, podolskie i wołyńskie, tak rolne jak i fabryczne *cukrowe* (!) z uwzględnieniem stosunku właścicieli ziemskich do dzierżawców. Wykazać środki, jakieby zapewniały i utrzymywały w *pełnej normie dochód wzajemny tak rolnika jak fabrykanta* i dążność *wzajemną* do utrzymania i *unormowania szacunku ziemi* oraz *cen robocizny rolniczej i fabrycznej.*“

Czy też znajdzie się jaki Edyp, któryby rozwiązał tę zagadkę, za którą p. Z. H. obiecuje zapłacić 300 rs. z własnej kieszeni? Rozumiemy dobrze, że *Gazeta* wydrukowała to żądanie, ale nie rozumiemy, jak sobie poradzi biedny autor, który będzie ten węzeł gordyjski rozplątywał? Tak określone pytanie jest najlepszym dowodem tego chaosu, jaki zapanował w głowie większości rolników prowincyj południowo-zachodnich.

Czegoś chcą, mają jakieś pragnienia i poczucia, coś ich boli, ale ani tego co boli nazwać nie umieją, ani swoich pragnień jasno wyrazić. Pomijamy pierwszą część wymagania czysto rolniczą, a rozważmy drugą — ekonomiczną.

P. Hoł. żąda od autora, aby ten „wykazał środki jakieby zapewniały i utrzymywały *w pewnej normie* dochód *wzajemny* tak rolnika jak fabrykanta.“ Jest w tem coś więcej, niż nieznajomość ekonomii rolniczej, która wszelkie *normy dochodowe* uważa za fikcye, a poszukiwaczy ich za ludzi zatrudnionych szukaniem — *perpetuum mobile*. Ekonomia rolnicza pozwala opierać się w projektach na *dochodzie przeciętnym*, z pewnej liczby lat, ale *normę dochodową*, jako jednostkę stałą, uważa za złudzenie, bo czynniki, regulujące dochód z gospodarstwa są ciągle zmienne; jeżeli tedy siła, działająca na wytworzenie czegoś jest niestałą, jakimże sposobem rzecz sama może być stałą, jednakową? Przypuszczamy wypadek najlepszy, że projektodawca miał na myśli *dochód przeciętny*, tylko nie umiał go nazwać właściwem imieniem, jakże ma wyjść z takiego chaosu, i autor i rolnik który szuka lekarstwa, na co?

Taka niejasność powtarza się bezustannie. P. Hołowiński żąda nietylko, aby autor rozprawy konkursowej wykazał mu „normę dochodu,“ ale aby wskazał „*wzajemną normę dochodu* tak rolnika jak fabrykanta“ i to jeszcze trzeba dodać „fabrykanta *cukrowego*“ bo tylko o niego p. H. się troszczy. Jaka to może być *wzajemna* norma dochodu rolnika i fabrykanta? Dla czego *wzajemna*? Zapewne, mogłaby być ta *norma wzajemną*, wtedy rozumiałbym, że p. Hoł. chodzi o jakiś stosunek osobisty, *wzajemny* z fabrykantem, a w takim razie — co to ma obchodzić ogół gospodarstwa? Myślałbym, że tu idzie po prostu *o dochód przeciętny rolnika i fabrykanta*, ale dalej czytam, że autor rozprawy ma wykazać także „*dążność wzajemną do utrzymania i unormowania szacunku ziemi oraz cen robocizny rolniczej i fabrycznej*“ — i oto widzę, że moje najlepsze domysły nic nie warte.

P. Hołowiński ma wprawdzie upodobanie szczególniejsze do *norm*, ale jest w niezgodzie i w wojnie z ekonomią polityczną i rolniczą. Ekonomia rolnicza powiada, że „z podwyższeniem się kultury rolniczej grunta są *wogóle* droższe.“ (Roscher), a p. Hoł. chce, ażeby mu za 300 rs. wynaleziono receptę na „unormowanie szacunku ziemi.“ Ekonomia rolnicza powiada, że rolnik powinien „najdroższą siłę produkcyjną zastąpić inną, jak najtańszą, ale w uskutecznieniu tego musi się stosować do wielu okoliczności, które zależnie od czasu, miejsca, osobistości, *zmieniają się tak nieskończenie, iż sformułowanie podobnych starań w ogólne zasady byłoby niepraktyczne, zbyt obszerne i bałamucące*, (Roscher), a p. Z. Hołowiński wymaga, aby „*unormować cenę robocizny rolniczej i fabrycznej.*“ Jest to chyba tęsknota za powrotem do błogosławionego stanu pańszczyzny? W takim razie najłatwiej byłoby „oznaczyć *cenę dnia roboczego* ciągłego i pieszego, a za pomocą „rózgi, którą duch boży dziateczki bić radzi“ pilnować aby *normy* były zachowane.

Że konkurs *Gazety rolniczej* jest rzeczą bardzo dobrą, nikt temu pewnie przeczyć nie będzie; ale gdyby się nawet znalazł kto, coby chciał *w istocie* odpowiadać na pytanie postawione przez p. Hoł. — co na tych odpowiedziach zyska rolnictwo? Byłoby to po prostu w *większej części* wyłożenie elementarnych zasad ekonomii rolniczej. Lepiej zrobili ziemianie lubelscy, bo przyłączyli się do konkursu *Gazety roln.*, który zresztą zadaniem swojem objął i inne dzielnice.

F. G.

LIBERUM VETO.

Ostatni szaniec. — Protokół sądu konkursowego. — Zdania sędziów. — Ich głosowanie logiczne a faktyczne. — Jedyny obrońca genialności p. Dykasa. — „Ostateczny wyrok“ i poprawki. — Propozycya Tarnowa. — Ważność sprawy i perfumy stajenne. — Tajemne życzenie i c. k. komisarz.

Zdobyliśmy tedy ostatni szaniec, za którym krył się sąd konkursowy w sprawie pomnika dla Mickiewicza, posiadamy długo oczekiwany i mający „zgnieść warchołów“ protokół. Jeżeli był ktokolwiek szczerze wierzący w sprawiedliwość wyroku, to po przeczytaniu go chyba zawoła: Panie, możesz mnie stworzyć Dykasem, ale zmiłuj się, nie każ mi podpisywać takiego protokółu!

Piastowali ową godność sędziów: pp. Guillaume, hr. Lanckoroński, Odrzywolski, P. Popiel, hr. Przeździecki, hr. Sierakowski, prof. Sokołowski, prof. Zacharyewicz i prof. Zumbusch.

Dziś już nie potrzebujemy ani słowa mówić przeciwko projektowi p. Dykasa, tylko powtórzyć to, co rzekli o nim sami sędziowie. Wysłuchajmy tych panów koleją:

Guillaume. „Projekt jest wogóle zbyt skromny i dla celu i dla miejsca;“ „możnaby żądać dla pomnika największego wie-

szcza więcej natchnienia i mniej podniosłości“ (taką uwagę robi polakom — przepraszam — krakowiakom cudzoziemiec!). „Cały ten pomnik jest zimny, bez *życia i poezyi*, a pod względem narodowym *mniej sympatyczny.*“ „Model nr. 6 (Dykasa) nie odpowiada w swej obecnej formie wymaganiom pomnika dla Mickiewicza, który powinien być apoteozą, mieć cechy wspaniałości i świetności.“

Sokołowski nie wie, „czemu orzeł w basenie umieszczony został“ i „nie uważa za stosowne polecać do wykonania modelu nr. 6, gdyż takowy nie jest bezwzględnie dobrym.“

Lanckoroński „dzieli zdanie poprzednich mówców,“ nadto sądzi, że „cały pomnik ma zbyt mało cechy narodowej.“ „Postać poety powinna być goręcej poczuta, strój nie tak zmodernizowany, a głowa podniesiona w górę.“

Przeździecki (najmniej mówiący) żąda, „aby tak w osobie, jak wyrazie wieszcza było wydatne poczucie apoteozy.“

Pryliński „nie może oprzeć się poczuciu, że (w modelu nr. 6) za mało się odzywa tętna narodowego“ i proponuje dać mu nagrodę drugą.

Sierakowski „upatruje więcej negatywne zalety w modelu nr. 6., który ma najmniej ze wszystkich błędów; jakkolwiek zaś jest względnie najlepszy, do pierwszej nagrody nie powinien być przedstawiony.“

Romer również „nie poleca go do pierwszej nagrody.“

Odrzywolski „przyznawał tylko względne pierwszeństwo nr. 6.“

Popiel (przewodniczący) „nie znajduje w nim tego wyższego nastroju, który powinien cechować pomnik dla naszego największego i narodowego wieszcza.“

Mamy więc dziewięć, a jeżeli wiarogodną jest ogłoszona w pismach rozmowa malarza Styki z Zumbuschem, zapewniającym, że uległ tylko z grzeczności — *dziesięć* zdań, które, przyznając pewne zalety projektowi p. Dykasa, stawiały mu poważne zarzuty i odsuwały go od pierwszej nagrody. Zdawałoby się więc, że projekt otrzyma 10 głosów przeciw sobie a 1 za sobą, tymczasem—otrzymał 10 za sobą a 1 przeciw. Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe! Owym jedynym protestującym był p. P. Popiel. Ale kto był jedynym obrońcą p. Dykasa i ostatecznie tryumfatorem? Prof. Zacharyewicz.

Warto poznać jego opinię. Wprawdzie i on nawet „dzieli zdanie poprzednich mówców co do *wartości* modelu,“ ale „upatruje w nim wielką harmonię linij, a *nie zraża się wcale* obawą (skąd ją przewidywał?), że projekt *zrazu* nie odpowie życzeniom publiczności, bo ta nie składa się z samych znawców (takich jak prof. Z.) i nie jest u nas dość artystycznie wykształconą.“ Według niego „prostota w wykonaniu nr. 6 jest dowodem jego *genialności i monumentalności.*“ Istotnie monumentalności trudno odmówić — temu zdaniu.

Przykro wyznać, że w całym składzie sądu najrozumniej przemawiał cudzoziemiec Guillaume. On trafnie ocenił projekt p. Dykasa, on wykazywał w jego robocie brak cech narodowych, on upominał się o pomnik godniejszy wielkiego poety, on wreszcie proponował drugi konkurs. A chociaż myśl tę poparł i jako wniosek postawił p. Pryliński, nie znalazła ona uznania. Odrzucono nawet drugą, ażeby przysądzono nagrody, ale pozostawiono komitetowi (szerszemu zebraniu), czy pomnik ma być wykonany według pierwszego modelu, czy też nie. *Jury* bowiem koniecznie chciało wydać „wyrok ostateczny,“ nieodwołalny, zagradzający drogę wszystkim dla przepuszczenia p. Dykasa. Gdyby kogokolwiek nie przekonały doniesienia pism, że nazwiska artystów, występujących do konkursu, były wszystkim znane, a zapieczętowane koperty stanowiły czczą formalność, to protokół zdradza najlepiej komedyę. Podczas gdy prof. Sokołowski opierał się otwarciu kopert przed przyznaniem nagród, hr. Lanckoroński daleko wcześniej uspakajał Guillaume'a, że twórca projektu nr. 6 „zdolny jest wykonać“ budowę pomnika.

A zatem według protokółu p. Dykas nietylko otrzymał pierwszą nagrodę, ale jego model ma być użyty do uczczenia Mickiewicza. Osobna komisya wszakże dopilnuje następujących zmian w projekcie: „Postać główna ma być bardziej ożywiona, natchniona a poeta powinien być przedstawiony w sile wieku. Pióro i zwój papieru mają być usunięte, natomiast dodać należy lirę złożoną na odłamie skały i ozdobioną wieńcem laurowym złoconym. Obydwa baseny powinny być zastąpione przez odpowiednie motywy architektoniczne. Woda płynąć powinna nie z muszli, ale szerokiej urny, czyli krateru i nie być złoconą. Orzeł ma być bardziej realistycznie wykonany, nie heraldyczny, w postawie znamionującej zabieranie się do odlotu, ze wzrokiem skierowanym w przestrzeń. Dwie postacie alegoryczne, tudzież dzieci, powinny być bardziej w duchu narodowym nacechowane.“ Tylko — tyle! W ten sposób można kobietę brzydką uczynić ładną i rzec: trzeba jej zmienić twarz, figurę, ręce i nadać inne ruchy a będzie bardzo piękną. Gdyby w sądzie konkursowym zasiadali ojciec, bracia, stryjowie i wujowie p. Dykasa — nie okazaliby mu więcej życzliwości.

Miejmy jednak nadzieję, że ten „ostateczny wyrok“ ulegnie kasacyi w komitecie głównym, liczącym wielu „warchołów,“ którego członkowie zostali właśnie do Krakowa powołani. P. Dykas wziął 3,000 złr. — jest więc wynagrodzonym, a nawet może zarobić więcej, gdyż Tarnów objawił gotowość nabycia jego projektu na pomnik dla — Szujskiego. Gród ten sądzi, bardzo słusznie, że po zmianie głowy model będzie dobrze wyobrażał znakomitego historyka, gdyż nawet dwie główne figury: przeszłości i przyszłości wyrażałyby działalność zmarłego jako historyka i posła, dzieci zaś czerpiące wodę—jako profesora. Ale radzę, niech się Tarnów spieszy, bo podobno anglicy chcą nabyć projekt p. Dykasa dla Gordona a węgrzy dla Berkesa, słynnego dyrektora orkiestry cygańskiej (oba narody również zastrzegłyby sobie zmiany).

Czytelnicy darują mi, że tak szczegółowo i długo zajmuję się sprawą pomnika Mickiewicza, gdyż posiada ona wielkie znaczenie, które każdy sobie sam wyrachować może. Nie zapominajmy przytem—co Guillaume mocno podkreślił — żeż wykonaniem dzieła, mającego trwać przez wieki, spieszyć się niepodobna, że społeczeństwu nie może być tak pilno, jak sądowi konkursowemu z „wyrokiem ostatecznym,“ że dla dogodzenia kilku panom nie poświęcimy stu kilkudziesięciu tysięcy złr. i czci największego poety polskiego. Jeżeli w Krakowie zbierze się kiedykolwiek *jury* dla przyznania nagrody najlepszemu fabrykantowi „perfum stajennych,“ które — jak donosi *Kuryer warsz.*— stanowią najmodniejsze pachnidło eleganckiego świata, nie będziemy protestować i „warcholić.“ Inna sprawa z Mickiewiczem, który wlazł do Krakowa jak Piłat w *Credo*. Że stańczycy chcieliby go się stamtąd pozbyć lub schować w jakimś zaułku—to wydaje mi się bardzo prawdopodobnem. Oni nie dla niego, a on nie dla nich — pobożnych i lojalnych. Nie mogąc inaczej wybrnąć z kłopotu, zmuszeni robić dobrą. a nawet zadowoloną minę, chcą mu przynajmniej wystawić pomnik szablonowy, ogołocony z wszelkich cech narodowych, nic niemówiący, taki, przed którym mogliby zawsze powiedzieć do każdego c. k. komisarza: nie szkodzi, homeopata Hahnemann ma taki sam w Lipsku...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Fundusz użyteczności publicznej. — Jego przeznaczenie. — Obowiązkowe nauczanie i nowy podział szkolny. — Przemlany nazw. — Trzeba korzystać. — Audaces fortuna juvat.—W obronie ziemian łukowskich— p. F. O. W. z *Hodowcy*.

Tydzień ubiegły przyniósł kilka nowin urzędowych, które czytelnikom naszym zwłaszcza prowincyonalnym obce być nie powinny. Powtórzymy je bez uwag.

Jak wiadomo, pewna ilość osób pochodzenia polskiego w t. z. guberniach zachodnich po wydaniu zakazu w r. 1865 otrzymała przywilej nabywania własności ziemskiej. Świeże obostrzenie tego zakazu pozostawiło wątpliwość, czy uprzywilejowani mogą na przyszłość korzystać z nadanego im prawa. Otóż komitet ministrów ogłosił, że wszelkie wyjątki od ustawy zr. 1865 tracą moc obowiązującą.

I o tem wiadomo, że w Petersburgu znajduje się t. z. fundusz użyteczności publicznej, powstały z oszczędności Towarzystwa kred. ziems. w Królestwie polskiem. Fundusz ten usiłowano podnieść, a później użytkować na rozmaite cele; nareszcie przedstawiono władzom projekt wyznaczenia 800,000 rs. na regulacyę Wisły pod Warszawą i 300,000 na dom obłąkanych w Tworkach, oraz urządzenia z tychże środków osobnego banku włościańskiego. Rada państwa dwa pierwsze żądania przyjęła, trzecie zaś odrzuciła, zapowiedziawszy jednocześnie, że centralny Bank włościański w Petersburgu rozpostrze swą działalność i na Królestwo polskie, do czego prawdopodobnie posłuży mu część funduszu użyteczności publicznej.

Dziewnik warsz. donosi, że wkrótce ma być zaprowadzone obowiązkowe uczęszczanie do szkół elementarnych we wschodnich powiatach gubernii siedleckiej i lubelskiej; koszta wyniosą 900,000 rs., a utrzymanie szkół 300,000 rs. rocznie. Zarazem zniesione będą granice dyrekcyj naukowych siedleckiej i lubelskiej, gdyż wschodnie powiaty stanowić mają jedną, a zachodnie drugą. *Dniewnik warsz.* dodaje nadto: „My rosyanie wiele przyjęliśmy od niemców, wiele od nich nauczyliśmy się, wiele wzięliśmy takich rzeczy, które nietylko nie przyniosły nam żadnej korzyści, lecz wyrządziły niemało szkód, jak np. socyalizm, nihilizm i inne izmy. Wartoby, ażebyśmy zapożyczyli od nich to i owo z systemu, którego się trzymają w niemczeniu podległych im dzielnic.“ Idzie tu o nazwy miejscowości. „Obecnie — mówi *Dniewnik* — w pismach urzędowych a nawet na słupach, miasta i wsie nazywane są nieprawidłowo“ zwłaszcza w powiatach hrubieszowskim, zamojskim i tomaszowskim. „Piszą: Szczebrzeszyn, Sławęcin, Pogórze, Masłomęcz, Miętkie, Miączyn, Grodysławice, Tuczempy, Dobromierzyce, Gródek, Przewale, Kłątwy, Wronowice, Adelinka, Mojsławice, Cichobuż, a lud — według *Dniewnika* — mówi: Szczebreszyn, Sławutin, Pogirje, Masłomyczy, Miagkoje, Mieszyn, Gorodysławiczy, Tuczypy, Dobromorowiczy, Gorodok, Prowale, Klatwy, Woronowiczy, Wyderkasy, Mysłowiczy, Tichobuż.“

„Trzeba korzystać — mówi *Nowoje Wremia* — z okoliczności dla oddziałania na uspokojenie umysłów, ażeby sfera: kościoła, szkoły i własności ziemskiej nie stawały się szkodliwemi podstawowemu rosyjskiemu centrowi, a reszta rzecz przyszłości. Bez względu na wybuchy rozdrażnienia ze

strony polskiej, przewidujący ludzie tego obozu nie mogą nie widzieć, iż sprawa polaków przegraną jest nietylko na wojnie, lecz i na drodze pokojowej, że pozostaje im obecnie jedna może rola polityczna: skupiać się w Polsce etnograficznej, w charakterze muru przeciwko zawojowywaniu kraju na drodze pokojowej przez niemców. Na tym gruncie i kultura polska mogłaby przynieść pożytek. Przyznajemy zresztą, iż chwila obecna nie po temu, ażeby o tem mówić, i że spokojne słowo nie może liczyć na powodzenie wśród wzburzenia umysłów, lecz — kropla wyżłabia kamień, a logika wypadków ma swoje prawo."

Już w „Kronice" poprzedniego numeru *Prawdy* zapisaliśmy jedyną pomyślną wiadomość, jaką w ostatnich czasach odebrali nasi ziemianie: ministeryum odmówiło słuszności żądaniu niektórych Izb skarbowych, ażeby ściągnąć kary i nowe opłaty od właścicieli ziemskich odpowiednio do wykazów Towarzystwa kred. Czytelnikom naszym rozjaśniliśmy w swoim czasie tę sprawę szczegółowo a nawet pierwsi wskazaliśmy w niej drogę obrony przeciwko usiłowaniom krzywdzącym. Szło o to: niektóre Izby skarbowe, wydostawszy z Towarzystwa kred. wykazy majątkowe, dokonywane z celem osiągnięcia jak najwyższej pożyczki a skutkiem tego przesadne i odmienne od podatkowych, domagały się wyegzekwowania zaległości i podwyższenia opłat. Przeciwko temu wielu ziemian zaapelowało do władz wyższych, które ich od tego obowiązku zwolniły. Ale tylko ich! Kto nie dopatrzył okiem, ten dołoży workiem, jeżeli z protestem nie pospieszy. Ostrzegają o tem wszystkie pisma interesowanych — i my również.

A niech nam tego nie poczyta za zniewagę ziemian p. F. O. W. z *Hodowcy*, człek, widocznie pragnący rozgniewać się na kogoś w imieniu szlachty powiatu węgrowskiego i niewiedzący za co. Przed kilku tygodniami zwróciłem uwagę, że kupcy i rolnicy węgrowscy, zebrawszy się dla narady nad „obmyśleniem środków podźwignięcia *kraju* z upadku ekonomicznego," podjęli ciężar nad siły, gdyż takie środki obmyśleć może tylko państwo. Uwaga ta, wyrażona z wszelką literacką przyzwoitością i dla każdego zdrowego rozsądku zrozumiała, otworzyła szeroko usta p. F. O. W. Zburczał on Posła Prawdy, Prusa, fejletonistów, omal że nie Ujejskiego i Hausnera, a *Prawdę* oskarżył o chęć pozbawienia właścicieli ziemskich „prerogatywy (?) roztrząsania spraw własnych," o „zamykanie im ust," o „chłostanie śmiałków." I wszystkie te okropności pismo nasze spełniło, choć „podlaska wioseczyna wydała" naszego redaktora. Pomijając omyłkę bijograficzną, zapytać winniśmy p. F. O. W., czy on czytuje *Prawdę*, czy też zna ją z opowiadań sąsiedzkich? „Nędzne miasteczko Palestyny — powiada autor—stało się źródłem prawdy, z którego ludzkość czerpała przez wieki;" dlaczegóż by więc w „nędznym zakątku Podlasia" nie miało „nastąpić rozwiązanie zagadnień interesujących świat cały?" Nic a nic przeciwko temu nie mam i prostować będę ścieżki mesyaszowi, gdyby nim nawet był p. F. O. W.; tylko radbym poznać ewangielię, owo węgrowskie "rozwiązanie zagadnień interesujących świat cały." Niestety, chociaż „rozwiązanie" nastąpiło, świat zagadnień się nie pozbył, a nawet, co gorsza, narada węgrowska zrodziła rezultat z naszem domniemaniem zgodny, tj. wcale nie „obmyśliła środków podźwignięcia *kraju* z upadku ekonomicznego."

Pan F. O. W. ma chęć bardzo dobrą, pragnie, ażeby ziemianie wogóle, a węgrowscy w szczególności traktowani byli przez prasę jako ludzie „dojrzali, wytrawni a częstokroć nauką przewyższający plebs dziennikarstwa warszawskiego." Ale jeżeli owej dobrej chęci nie ma żywić daremnie, niech się nie odzywa w *Hodowcy* ani tym tonem, ani tym językiem, ani tą swawolną argumentacyą. Nie dowiedzie bowiem wcale, że jest „dojrzałym i wytrawnym," a nawet że „przewyższa plebs dziennikarstwa warszawskiego." Wątpić przytem należy, czy ziemianie węgrowscy byliby zadowoleni z takich popisów pisarskich p. F. O. W., dokonywanych w ich imieniu i czy przez nie ich dojrzałość, wytrawność i nauka podskoczyłyby w kursie.

Rzecz dziwna, autor czuje odrazę do brutalności „rycerzy pióra," a przypuszcza, że „brak taktu i przyzwoitości" jest w Warszawie wadą, a w powiecie węgrowskim zaletą. Bo czyżby inaczej swoją korespondencyę ozdobił i „długo-uchym rumakiem," i „wiedzą żydowską," i „półświatkiem literackim," i całym słownikiem „taktu i przyzwoitości"—powiatu węgrowskiego? No, mamy nadzieję, że jest to słownik nie całego powiatu, a nawet że p. F. O. W. zasmakuje w lepszym.

A. C.

Kijów. Od dwóch lat już usiłuje zaświecić naszemu miastu *jutrzenka* — daremnie. Nie można nawet zrozumieć dobrze, jakiej to gwiazdy niebieskiej ma ona brzask wyobrażać. Mówię o niedawno wydanym na świat pod tą nazwą kijowskim kalendarzu. Kogo ten tytuł pociągnie i zniewoli do zapłacenia 30 kop., ten dozna zawodu. Jest to sobie bardzo tandetny kalendarzyk z dodatkiem ogłoszeń handlowych. To, w czem chciałem szukać brzasku jutrzni, tj. część literacka, pomieściło się na 25 niewielkich kartkach i składa się z jednego artykułu ekonomicznego, sześciu poezyj, jednej powiastki i jednej komedyjki, słowem wszystkiego tam potrosze i prawie wszystko nic niema wspólnego z brzaskiem nowej myśli.

Gdyby podobny kalendarzyk pojawił się w Warszawie, nie wspominalibyśmy o nim — utonąłby w zapomnieniu; lecz inne jest jego znaczenie w Kijowie. Drugi rok wydawnictwa *Jutrzenki* każe się domyślać stałego zamiaru wydawcy przyświecania Kijowowi; nie więc dziwnego, że na ten prawie jedyny objaw podobnej chęci mimowoli człek zwraca baczniejszą uwagę. Ze smutkiem tedy wypada nam zaznaczyć, że zbiorek ten nawet dla kalendarza jest za mądrym. Przepatrzmy go.

Artykuł p. Ign. Bartnickiego „Najnowsze udoskonalenia w dziedzinie mechaniki rolniczej dokonane w kraju," zajmuje trzy kartki szerokiego druku. Odrzuciwszy całą kartkę wstępu o wszystkiem i o niczem i kilka ustępów poświęconych poetycznym hymnom na cześć panów konstruktorów, pozostanie nam trochę więcej, niż kartka napuszonych opisów jednej kartoflarki, dwóch żniwiarek i modelu jednego. Kwieciste te opisy są tak niedokładne, że rolnik z nich żadnego przekonania o wartości ulepszeń powziąć nie może. Możemy zapewnić autora, że cenniki handlowe dają dokładniejsze i poważniejsze wiadomości, niż jego rozprawa. Najwięcej miejsca poświęcił on modelowi siewnika p. Drzewieckiego, którego, jak się okazuje nawet nie widział, gdyż nie wie, czy zostały w nim zachowane dogodności siewników zagranicznych.

Poetycznego nastroju, w jaki pana Bartnickiego wprawiły maszyny, powinienby pozazdrościć czarny poeta Bolesław Markor, który do tego stopnia nie może dać rady swej skłonności do mowy wiązanej, niekoniecznie gładkiej, że gotów wszystko, nawet „gnój" wierszami opisywać. W „Kartce z życia codziennego" rozpowiada on o swej przechadzce po błocie z powodu bólu głowy, podczas której miał nieprzyjemną rozmowę ze stójkowym o policyjnych obowiązkach, wreszcie poszedł pod okno karczmy i podpatrzył scenę kilku pijaków; przed nimi pijana dziewka schrypłym głosem śpiewa:

> Ja diwczyna mołodeńka,
> Z parubkamy ja woźusla
> I wam chłopci pryhożusia! Hu—ha!

Tuż obok mąż bije żonę, przyczem sypią się zaklęcia i łajania: „A łotrze, łajdaku!" „Milczeć klępo! Nu-nu! won suko przeklęta!" I to wszystko wierszami. Biedna poezyo, żałuję cię piękna, szczytna bogini; lecz uzbrój się w cierpliwość, bo któż zgadnie, dokąd cię jeszcze z szynkowni p. Markor zaprowadzi w pogoni za natchnieniem i przy bólu głowy.

Pan W. K. zamieścił długie wierszowane ćwiczenie aż w 3 częściach na temat z motywów średniowiecznych: „Błędni rycerze." Stare rzeczy; nic tam nowego już niema, a powtarzane chyba mistrzowstwo wykupić potrafi. Szkoda atłasu i tak nie bardzo barwnego.

Bardzo udatny z formy króciutki wierszyk p. Kutyłowskiego „Metamorfoza." opowiadający, jak jego serce w świat rzucone skamieniało, przywiódł mi na pamięć „Sen i kabałę" Syrokomli. Radzę autorowi przeczytać ten wierszyk i zapamiętać jego morał.

Śród tych wierszydeł, dziwnym zbiegiem losów wypadło ukazać się „Zimie na Dnieprze" p. Wł. Wysockiego. Pełen siły obraz starego Dniepru - Sławutycza zakutego mrozem północy, wzbudza głębsze uczucia, nasuwa inne dumy. Szkoda tego wiersza dla takiego zbioru!

P. Jaksa Bykowski, chcąc widać przyświecić *Jutrzence* młodzieży kijowskiej, zamieścił w niej swoje wspomnienia studenckie. Lubując się w koleżeństwie, złożonem z „młodzieży szlacheckich domów dobrej tradycyi," która nie nosiła „krasnych i żółtych rubaszek," lecz była „może za swawolną i hulaszczą, może więcej się bawiła, niż uczyła," rozpowiada o jednej trywialnej awanturce między dwoma jego kolegami z powodu „studenckiej" panny z domu wcale niemoralnego. Rodzice tej bohaterki, za pomocą wdzięków córki, po prostu sięgali do sakiewki studenckiej. Jeden z wielbicieli przewrócił na ulicy drugiego, goniąc za rzuconym przez pannę kwiatkiem; wynikły stąd pojedynek z powodu podejścia sprytniejszych kolegów, skończył się dosyć komicznie. To całe wspomnienie, może dla autora ma ono jakie powaby. dla czytelnika jest bardzo bladym obrazkiem dawnego życia studentów, skąd ani jedna iskierka nie świeci dla jutrzni nowej.

U p. Jasieńczyka w jego szkicu dramatycznym „Wakacye studenckie" przynajmniej uczciwi ludzie występują, chociaż także do ostateczności naiwni. Przyjechali studenci na wieś. Panienkę zaintrygował mruk zatopiony w fizyologii i nie uznający zapałów serca; więc prosi mamę o pozwolenie rozniecenia w nim iskry dla żartu, na co mama chętnie przystaje. Zostawszy sam na sam po obiedzie, ona skromna, on surowy i uczciwy, pierwszy raz w życiu się widząc, zaczynają rozniecać nieszczęśliwą tę iskrę; po pięciu minutach rozniecenia dochodzą do „ty" i do całusów, na które schodzi całe towarzystwo. Po paru wyjaśnieniach ojciec przystaje na ślub córki ze studentem po ukończeniu szkół. Intrygi i zawikłania scenicznego ani śladu; jest tylko rozwiązanie; czego? chyba naiwności ogólnej. Jest to nieudatna sielanka w osobach z mnóstwem wad scenicznych, słowem — płód przedwczesny.

Takie robi wrażenie literacka część *Jutrzenki*. Jest to zbiór wypadkowo wyłowiony przez niewybrednego wydawcę, ułożony bez wszelkiej redakcyjnej krytyki. Jako taki, nie może on służyć za wyraz umysłowo-pisarskich zasobów Kijowa, o czem jesteśmy głęboko przekonani. Jeśli literacka część, z jakichbądź powodów nie może być na przyszłość ulepszoną, to wydawca dobrze zrobi, jeśli ją zarzuci zupełnie; korzystniej będzie zwrócić uwagę na sam kalendarz i część informacyjną. Zamieszczony krótki przewodnik po Kijowie podaje mniej wiadomości, niż potrafi udzielić każdy dorożkarz i stójkowy. Ci mężowie mogą oświecić każdego przyjezdnego o zakładach naukowych, kamerach sędziów pokoju, odejściu pociągów i statków, taksach itp., o czem przewodnik milczy.

C. N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 19 marca.

Dziś już trudno wyobrazić sobie, ażeby się mogło odbyć jakiekolwiek posiedzenie parlamentu niemieckiego bez przekąszenia suchych rozpraw potrawką z polaków. Zwłaszcza ks. Bismark dziwnie, chorobliwie lubi te przekąski. Mówiono o zapomodze rządowej dla kilku linij żeglugi morskiej do kolonij niemieckich. Zdawało się, że tu już polacy odpoczną. Gdzie tam — kanclerz zjadł ich z dziwnym smakiem. „Pytam pana posła (Jażdżewskiego): czy przywrócenie Królestwa Polskiego nie jest ideałem jego rodaków a zwłaszcza reprezentowanego tu stronnictwa? Nie zaprzeczy temu, ale powiada: chcemy to osiągnąć przez nacisk opinii publicznej. Moi panowie, to jest całkiem niemożliwe. Ideał, o którym wspomniałem, oderwanie prowincyj od państwa pruskiego, mógłby się urzeczywistnić tylko przez wojnę, lub inny środek, równie gwałtowny — przez rewolucyę. Pozostaje wybór tylko między temi dwiema drogami.“ Albo czekajcie nieszczęśliwej dla Niemiec a szczęśliwej dla was wojny, albo zróbcie rewolucyę. Bo siła idzie przed prawem, którego nie zdobędziecie ani prośbami, ani odwoływaniem się do słuszności.

Już ta etyka chyba niema żadnych osłonek. Jakże też wstrętna!

Może dzięki tej etyce sejm uchwalił wydatki na linię azyatycką i australską, a odrzucił tylko afrykańską.

Podczas tych rozpraw zdarzyła się bardzo charakterystyczna potyczka. Poseł Richter, wykazując potrzebę łączności z Anglią, powołał się na związki pokrewieństwa domów panujących. Niewinna z pozoru ta wzmianka zagotowała krew w Bismarku. Wybuchnął on całym gniewem przeciwko szkodzeniu interesom narodowym przez akcentowanie pokrewieństw dynastycznych. Sens straszliwie długiej jego mowy zawierał się w tej starannie obwiniętej myśli: wy nie przypominajcie, że córka królowej Wiktoryi jest żoną niemieckiego następcy tronu, bo mi to przeszkadza w targu z Anglią.

A targ ten jeszcze nieskończony, chociaż już dobiega do celu, a równolegle posuwają się układy rosyjsko-angielskie w sprawie Heratu, które dziś zawisły na tem, że Rosya i Afganistan zobowiązały się nie wkraczać w pas sporny. Ten Afganistan ma minę zacietrzewionego koguta, który myśli, że postrach budzi, a nie wie, że niedługo pójdzie na stół jednej lub drugiej strony.

Wiedeńska Rada państwa burzy się. Lewica, rozwścieklona przegraną, wywołuje skandale. Na jednem z ostatnich posiedzeń, gdy poseł Knotz krzyknął, że niemcy „nie chcą być ujarzmiani jak rusini galicyjscy,“ Julian Czerkawski przyskoczył do niego w gniewie. Wszczął się taki hałas, że musiano przerwać obrady.

Wiedeń. Powstanie albańskie, zasilane i rozdmuchiwane z zewnątrz, wzrasta.

— Wyrok w sprawie Ritterów (oskarżonych o zamordowanie chrześcianki) skasowano.

Paryż. Dzienniki tutejsze wymieniają nazwiska dowódców rosyjskich wyprawy afganistańskiej; głównym ma być gen. Kuropatkin, szefem sztabu — Jołszyn.

— Na wyprawę do Tonkinu ma być zażądany nowy kredyt.

Petersburg. W Syberyi postanowiono wprowadzić początki reformy sądowej.

— Minister spraw wewnętrznych wyjechał do Liwadyi.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Dniewnik Warsz. domagając się kontroli rządu nad seminaryami katolickiemi, pyta:

„Czyż można ścierpieć, żeby wykłady w seminaryach Białorusi lub Wołynia odbywały się w języku polskim? Czyż podobna dopuścić, żeby w seminaryach sejneńskiem i wileńskiem młodych litwinów przerabiano na polaków? Czyż można ścierpieć, żeby poddanych Cesarza rosyjskiego uczono widzieć w nim wasala arcykapłana rzymskiego?

Trudno, powiedzą do nas, ustanowić w tej sprawie kontrolę rzeczywistą, poważną i nieformalną tylko. Tak, bezwątpienia; lecz kontrola taka jest niezbędną, a zatem mówić o trudnościach można tylko w zamiarze pokonania tych trudności.

Dlatego celu oczywiście nie będzie dostatecznem zamianowanie na każde seminaryum po jednym nauczycielu języka rosyjskiego. Potrzeba tu osoby bardziej poważnej, która miałaby o każdej porze dnia i *nocy* dostęp do seminaryum i której zdanie nie ulegałoby krytyce ze strony rady pedagogicznej, czy też innej rady seminaryum.“

Nowoje Wremia pisze:

„W prasie polskiej dają się słyszeć głosy, iż ściśle bierna pozycya, przyjęty program wyłącznie pokojowej wewnętrznej pracy ku odrodzeniu narodowości polskiej, w ciągu ostatnich lat dwudziestu, nie przyniósł szczególnie pomyślnych rezultatów.

Naszem ściśle konserwatywnem, obrończem stanowiskiem — powiada *Reforma*—nie zmiękczyliśmy ani prusaków, ani rosyan; zasób sił polskich nie wzrasta, lecz zmniejsza się, dwudziestoletni program zbliża się ku bankructwu.

Podobne wyznanie jest wysoce charakterystycznem w chwili obecnej i łączy się bodaj z uwydatniającą się w prasie galicyjskiej przepaścią pomiędzy rusinami i polakami.

Prawda, iż taż sama *Reforma* z podobnych rezultatów bynajmniej nie wyprowadza konieczności zbrojnego oporu, powstania, które jest niemożebnem. Przeciwnie, zostaje ona przy dotychczasowej zasadzie, a protestuje tylko, co do jej środków, przeciwko materyalnym dążeniom, które stały się jedynym celem, zamiast pozostać środkiem odrodzenia; protestuje przeciwko sprzedajności i serwilizmowi, przeciwko przewadze tuzów rodowych i pieniężnych na korzyść średniej szlachty. Każdy zrozumie, że podobny wniosek nie zupełnie odpowiada zasadzie, iż nadto historyczne posłannictwo szlachty średniej przedstawią również mało rękojmi co do spokoju umysłów, jak i przewaga duchowieństwa — i że nakoniec w celu walki o polonizm niema właściwie potrzeby odwoływania się do tak nieodpowiednich środków jak zbrojne powstanie.

Sens cały dowodzenia w tem, że jeśli dwudziestoletnia spokojna praca nie przyniosła korzyści polakom, to tem mniej przyniosła i nam, a trzeci dziesiątek lat zastaje niestety przepaść pomiędzy obiema narodowościami nic a nic nie zmniejszoną, jak i nie zmniejszyły się pretensye „kulturnej“ prowincyi.

Mosk. Wiedomosti podają okólnik konsystorza wileńskiego:

„JE. Karol Hryniewiecki, biskup wileński, d. 21 stycznia L. 95. oznajmił konsystorzowi, że, zgodnie z prawami kanonicznemi, na czas nieobecności Jego Ekscelencyi, albo w razie usunięcia go z dyecezyi, zarząd rzymsko-katolicką dyecezyą wileńską, z zupełną władzą biskupią, porucza na zawsze swemu wikaryuszowi generalnemu, kanonikowi Maciejowi Harasimowiczowi, oświadczając przytem, że po dzień śmierci Jego Ekscelencyi lub tranzlokacyi dopełnionej za zgodą świętej Stolicy Apostolskiej, albo nareszcie z chwilą zamianowania przez Ojca Świętego rzeczywistego następcy na biskupstwo wileńskie, kapituła katedralna wileńska nie jest w prawie ani przystępować do wyborów, ani wybierać wikaryusza, pod nieważnością wyboru i karą ekskomuniki wyborców *ipso facto*, w tym wypadku, gdyby kapituła poważyła się wybrać kogokolwiek. A gdyby inną drogą ktokolwiek został mianowany administratorem dyecezyi, nominat taki, pod rygorem tejże kary, nie może przyjąć ani wyboru, ani nominacyi, ani też nie może zarządzać dyecezyą.

Tak samo duchowieństwo i wierna owczarnia katolicka, pod tymże rygorem, nie mogą uznawać w nikim innym administratora lub wikaryusza.

W razie usunięcia lub śmierci kanonika Harasimowicza, poruczamy zarząd dyecezyi na tych samych prawach temu, kogo on osobiście wskaże.

O powyższem konsystorz zawiadomi wszystkich, komu o tem wiedzieć należy.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

W sprawie składek na powodzian, poruszonej już przed kilku miesiącami a podniesionej przez nas ponownie, p. A. Goldstand przesłał nam następującą odpowiedź pod d. 16 marca:

„W wyjaśnieniu poruszonej w ostatnim numerze *Prawdy* kwestyi, mam zaszczyt zakomunikować Panu, że dotychczasowe wpływy na rzecz powodzian

wynoszą . . .	Rs.	56,434	kop.	86
wydatki	„	40,120	„	13
remanent na 15/3 85	„	16,314	„	73

a to stosownie do szczegółowych wykazów, które co tydzień składam Komitetowi Warszawskiemu.

Wobec ogromu strat i nawału próśb, komitet niemałe miał zadanie rozdzielać odpowiednio wsparcia i musiał za pośrednictwem komitetów miejscowych zbierać szczegółowe dane. Tą drogą—acz dłuższą ale pewną—idziemy dalej.“

Nadto 18 marca otrzymaliśmy drugie zawiadomienie: „W dopełnieniu ostatniego wyniku, mam zaszczyt Pana zawiadomić, że dziś znowu posyłam z polecenia komitetu warszawskiego do dwóch podkomitetów razem rs. 5,011.“ Tak więc obecnie zapasowy fundusz na powodzian wynosi jeszcze rs. 13,298.

Projekty na pomnik Mickiewicza mają być wystawione w Warszawie. Po niewczasie.

P. Rogoziński jest ciągle poszukiwany przez pisma. Tymczasem *Gazeta rolnicza* mianowała go „pułkownikiem.“

Wiek, dowiedziawszy się ze sprawozdania Towarzystwa Dobroczynności, że Brandes za swe odczyty otrzymał 600 rs., pyta „dlaczego fakt ten *ukrywano* tak dyskretnie,“ i wnioskuje, że „izraelita duński jest prawdziwym warszawskim pozytywistą.“ Naprzód co do „ukrywania“—to pomijając wzgląd, że samo tylko Towarzystwo znało warunki układu z Brandesem, zauważyć należy, że owe 600 rs. stanowią tylko *połowę* dochodu, którego druga część przypadła dobroczynności— o czem dziwnie zły i dziwnie nierozumny w tej sprawie organ milczy. „Izraelita duński“ czyli „pozytywista warszawski,“ który ofiarował kilkaset rs. biednym obcego i nieznanego sobie miasta, był chyba dość grzecznym a hojniejszym, niż ci jego napastnicy, którzy dla biednych pracowali tylko u „ojca Piotra.“

Uniwersytet. Profesorem akuszeryi mianowany został p. Jastrebow, lekarz 12 batalionu strzelców.

Przestroga. Jeden z prenumeratorów *Nowi* wydawnictwa Wolffa, księgarza petersburskiego, wytoczył mu proces o oszustwo za to, że zamiast przyobiecanej prospektem „ramy,“ dostał premium obrazowe w „bordiurce.“ Sędzia pokoju skargę oddalił, ale zjazd obecnie skazał księgarza na 4 miesiące więzienia. Jest to przestroga dla tych, którzy w prospektach obiecują za wiele.

Mosk. Wiedomosti, rozmyślając nad sposobem odparcia konkurencyi przemysłowo-handlowej, która zwłaszcza dzięki drodze Dąbrowskiej grozi Cesarstwu, wynalazły prosty środek: „oddać lewy brzeg Wisły ostatecznie i na zupełną własność Niemcom “

Prasa. Od 1 kwietnia zacznie wychodzić w Warszawie miesięcznik ilustrowany *Fortuna* pod redakcyą p. Komierowskiego, wydawcy kalendarza *Premiówka*

Jubileusz Brandta obchodzony był w Monachium uroczyście. Wręczono mu album, zawierający rysunki

wszystkich prawie malarzów. Warszawa posłała telegramy.

Album malarzy polskich Robiczka zamieściło w ostatnim zeszycie: *Jazdę na kulig* Kleczyńskiego i *Taniec Zaporożców* Masłowskiego.

Z życia. *Kuryer warsz.* przytacza następujący wypadek, doskonale znamionujący nasze stosunki.

Pan *** niemłody już kawaler, sprzykrzywszy sobie obiady restauracyjne, postanowił urządzić kuchnię domową i w tym celu zgłosił się do kantoru służących, z żądaniem przysłania mu odpowiedniej kandydatki.

Pierwsza z nich, jakaś rezolutna kobiecina, żądała, aby p. *** z góry określił jej zajęcie.

Kawaler wyłuszcza więc całą litanię obowiązków przyszłej sługi, a kiedy już skończył, kandydatka zapytuje:

— I za to wszystko wiele mam brać na kwartał?

— No tak, jak się zwykle płaci, 12 rs. — rzecze pan ***.

— I za taką robotę tylko 12 rs. i to u kawalera, to niech pan sobie poszuka żony, ale nie sługi—odparła z pasyą rezolutna kobiecina.

Komitet wystawy rolniczo-przemysłowej ogłosił trzy konkursy specyalne w działach jedwabnictwa, pszczolnictwa i rybołówstwa.

W kraju „północno zachodnim" wiele osób pochodzenia szlacheckiego—jak donosi *Gołos Moskwy*—zapisało się do gromad wiejskich.

Dla „ausrotten" niemcy zakładają w Poznaniu towarzystwo... historyczne własne. Biedna historya! Zgwałcona będzie musiała być ich służebnicą.

Akademia umiejętności. Posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodn. odbyło się 20 lutego. Przyjęto prace: Dr. J. Szyszyłowicza p. t. *Stanowisko rodziny Tremandracae w systemie naturalnym*, dr. Mertensa p. t. *O utworach niezmiennikowych form kwadratowych* (z dziedziny wyższej algebry), dr. Rostafińskiego p. t. *Zielnictwo polskie XVI w*, część pierwsza: Krytyczny pogląd na literaturę. Opis dzieł. Legenda o zielniku polskim XV w., M. Raciborskiego p. t. *Przyczynek do znajomości desmidyów.* Wszystkie te rozprawy odesłano do komitetu redakcyjnego.

Ludność francuska—jak wiadomo—zmniejsza się. Otóż pewien klinicysta paryski radzi dla zapełnienia ubytku sprowadzić żydów, którzy są „inteligentni, pracowici, ambitni i—co najważniejsza—płodni." Może to i dobra myśl, którą polecamy uwadze—najpłodniejszych.

Statystyka. Pismo „Mulhalls Balance Sheet of the World" obliczyło, że całe bogactwo narodowe sześciu głównych państw europejskich wynosi 184,205,000,000 dolarów, a suma ta rozkłada się tak:

Stany Zjednoczone	43,642,000,000
W. Brytania	43,366,000,000
Francya	35,898,000,000
Niemcy	29,403,000,000
Rosya	17,134,000,000
Austro-Węgry	14,762,000,000

Ludność tych krajów w r. 1880 wynosiła:

Stany Zjednoczone	50,155,783
W. Brytania	29,702,727
Francya	36,905,788
Niemcy	45,194,177
Rosya	87,795,987
Austro-Węgry	37,741,434

A zatem podczas gdy w Anglii na głowę wypada 1541 dol., w Rosyi 195.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Halinie. Listu poprzedniego nie otrzymaliśmy. Najpewniejszy sposób, naturalnie obok rozmowy: poznanie zasadniczych prawideł gramatyki i czytanie dzieł pisarzy wzorowych ze słownikiem i nieomijaniem żadnego niezrozumiałego wyrazu, żadnej trudności.

Jerzemu z Ukrainy. Możemy odpowiedzieć tylko jakie są szkoły: Łojki, gdzie uczą różnych rzemiosł i buchalteryi; hr. Plater—nadto rysunku; przy ul. Królewskiej—szkoła rysunku i malowania na porcelanie, wreszcie przy Muzeum przemysłowem klasa rysunku dla kobiet. Który z tych zakładów najlepszy i jakie rzemiosło dla kobiety najpopłatniejsze—trudno nam rozstrzygać. Podobno malowanie porcelany jest dość zyskownem.

S. Bagińskiemu w D. Tylko praktyk mógłby objaśnić, które dzieła są najlepsze. Wymieniamy najnowsze: K. Grocholski *Podręcz. dla pszczol.* Lwów, 1877 str. 88; K. Krasicki *Gospod. pszczol.* w słomianych bezdenkach, Gniezno 1879, str. 54. Pożądanych rad udzieli łoby Panu warszawskie Muzeum Pszczelnicze, a raczej jego twórca p. K. Lewicki. Z. Gawarecki *Uprawa chmielu*, Warszawa 1861, str. 79; J. Janecki *Chmiel*, Wolsztyn i Grodzisk 1861, str. 120; Sacher *Prakt. upr. chm.*, Poznań 1861, str. 155 i in.

Z. Pl. w Charkowie. Zużytkowano w numerze poprzednim.

W. Sol. w Rydze. Kiedy więcej dotąd nie wyszło.

Ig. Lipsz. Nie, gdyż i przy tej cenie dołożymy kilkaset rubli.

Cz. C. w Kuszku. Żądane książki kosztują rs. 1 kop. 85, przesyłka kop. 38, Brandes rs. 1 kop. 50—razem rs. 3 kop. 73; należy nam się przeto kop. 23. *Dzieł* Schillera zeszyt kosztuje kop. 40, wyszło zeszytów 25, a będzie 35.

Sprostowanie. W nr. poprzednim str. 129 szp. 1 w. 50, zam. *Warszawskie* czyt. *Warszawscy*; w 53 zam. *Warchowania* czyt. *Warchołowania.*

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Марта 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.